Nr. 32. Poznań, niedziela 9-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Ukarany patryotyzm.

Dotykamy dzisiaj znowu jednej z owych spraw drażliwych, o których ludzie w poufnych gawędach z goryczą mówią od dłuższego czasu, a które rzadko tylko głosem skargi wyraźnej odzywają się w organach prasowych. Chodzi tu o sprawę ks. Bartscha z Wonieścia, fermentującą od kilku tygodni w szerokich kołach społeczeństwa a palącą dzisiaj tak boleśnie myślącą głębiej i czującą głębiej publiczność polską, że ciche głosy trwożliwych przeczuć zamieniają się w donośne szemranie.

Historya smutnego zdarzenia jest bardzo krótka. Polski włościanin Gronostaj napisał do ks. Bartscha, proboszcza z Wonieścia, list w fatalnie zepsutym języku niemieckim, z prośbą o wydanie metryki. Proboszcz, któremu pod rewerendą bije serce polskie, odpowiedział włościaninowi, że metryka jego nie znajduje się w aktach kościelnych, — mimochodem zaś dołączył naukę, że polski włościanin powinien do polskiego księdza pisać w ojczystym języku, a nie popisywać się niemiecką mową, której nadomiar nie zna i w tak wykrzywionych formach używa, że zaledwie zrozumieć go można. Jakiemi drogami wiadomość o liście tym dotarła do redakcyjnych kuźni Hakatystów, nie wiemy, — dość, że nagle pojawiły się w poznańskim „Tageblacie“ piorunujące artykuły przeciw patryotycznej akcyi proboszcza z Wonieścia, żądające z niesłychaną efronteryą, by ks. Bartscha surowa spotkała kara. Na mieście i prowincyi zaczęły kursować różne tajemnicze domysły i półsłówka. Mówiono, że ks. arcybiskup skarży się na księży, „utrudniających mu pozycyę,“ szeptano, że władze rejencyjne zażądały w myśl „Tageblattu“ ukarania księdza — patryoty, że kara ta w ten czy ów sposób wymierzoną zostanie i t. p. Po pewnym czasie odezwał się znowu poznański organ Hakatystów, donosząc z tryumfującą miną, że ks. Bartsch otrzymał kanoniczne monitum i rozkaz ogłoszenia tego wyroku... w Tageblacie. Wieść była potworna. Co? Ksiądz zniewolony uderzyć się w piersi w organie Hakatystów? I za co? Za miłość do mowy ojczystej? Najwięksi pesymiści nie wierzyli temu, — jakoż istotnie w kilka dni później „Tageblatt“ sprostował wiadomość o tyle, że udzielenie kanonicznego monitum jest faktem dokonanym, lecz proklamacya nie odbędzie się w łamach antipolskiego i antikatolickiego organu. Nam doniesiono już przed kilku dniami z wiarogodnego źródła, że wiadomość powyższa zgadza się z prawdą, a tylko jedna kwestya jeszcze jest wątpliwą: Czy ks. arcybiskup poprzestanie na urzędowej naganie, czy też upokorzy silniej kapłana-patryotę, zniewalając go publikować w polskich organach otrzymane monitum. Pytanie to długo się ważyło w biurach urzędowych, — ludzie kręcili głowami, jedni wołali: Niepodobno! inni w stronę kapituły przerażonem spoglądali okiem, lękając się ukrytych tam gromów. Nagle w środę wieczorem pojawił się w „Dzienniku Pozn.“ i „Kuryerze“ list następujący:

„Upraszam Szan. Redakcyą o łaskawe umieszczenie następującego oświadczenia:

„Skoro, jak twierdzi „Posener Tageblatt“ wyższy urzędnik rejencyjny powiadomił go, że odebrałem „monitum“ od mojej władzy duchownej, położę może koniec dalszym domysłom w tej sprawie, oświadczając z całą otwartością, że takowe odebrałem, a dodaję, że zasłużyłem sobie na nie porywczością odpisu mojego.

„Żyłem zawsze w najlepszych stosunkach ze współobywatelami narodowości niemieckiej, szanuję i szanowałem zawsze uczucie narodowości niemieckiej, nie chciałbym nigdy mu ubliżyć, co mi zupełnie niesłusznie imputują, bo wiem, jak to przykro wobec własnego uczucia. Gdy zaś skutkiem tego od 2 lat ciągłego podburzania przeciwko nam w rozdrażnieniu, w jakiem tu żyjemy, na chwilę się uniosłem i straciłem równowagę, żal mi tego, a przykro mianowicie, żem na ciernistą drogę mojego ukochanego Najprzewielebniejszego Arcypasterza dorzucił kamień.

Wonieść, 3 sierpnia 1896.

Ks. Bartsch.“

A więc publiczna skrucha i biczowanie publiczne? Czy to własna inicyatywa księdza-patryoty, czy rozkaz z góry? Nie potrzeba być chyba bardzo domyślnym, by z z listu tego wyczytać presyę, pod którą został pisany. Nie dość było miarodajnym sferom upomnieć ks. Bartscha za skromny objaw patryotyzmu, — nie! karę rozkrzyczano na rynkach i ulicach, a raczej zmuszono księdza-patryotę do publicznego „Mea culpa,“ aby upokorzenie to służyło za postrach dla wszystkich kapłanów, którzyby kiedykolwiek pokusić się chcieli o zamanifestowanie przed światem, że ksiądz-Polak nietylko kościół lecz i ojczyznę miłuje, nie tylko religii, lecz i języka ojczystego broni.

Na ciekawe stosunki zanosi się w Księstwie. Co tam się dzieje za kulisami w arcybiskupich kancelaryach, tego dokładnie nie wiemy, faktem jednak pozostaje stwierdzonym, że charakterystycznem znamieniem rządów ks. Arcybiskupa Stablewskiego jest lojalna giętkość, gotowa zawsze do ustępstw na korzyść władzy niemieckiej, tendencyami germanizacyi przejętej, — na szkodę narodu, którego synem jest dawny poseł społeczeństwa polskiego, dawny obrońca sprawy ojczystej w sejmie i parlamencie. Niech nam ks. Arcybiskup Stablewski wybaczy te słowa podyktowane goryczą, która całe patryotyczne obywatelstwo piecze coraz silniej. My dobrze wiemy, że położenie jego jest trudnem, ale wiemy również, że w dyplomacyi tumskiej nie ma tej twardości i stanowczości narodowej, która staćby się mogła puklerzem dla kraju, deptanego brutalną stopą niemiecką. Nie przeczymy, że interesów kosmopolitycznego kościoła strzeże ks. arcybiskup Stablewski mądrze i wytrwale, lecz kościół narodowy niknie nam z przed oczu, a kanoniczne monitum, spadające na głowę kapłana za skromny objaw przywiązania do mowy ojczystej, napełnia nas trwogą o jutro i z dnia na dzień potęguje w pewnych kołach obawę, że stosunki Szląska i Prus Zachodnich mogą się zjawić i u nas. Trzeba nam zawczasu rozpatrzeć się w położeniu i uwzględniając smutną ewentualność, zastanowić się dobrze nad stosunkiem duchowieństwa do spraw publicznych. To nie liberalizm, jak „Kuryer“ wołać będzie niezawodnie, dyktuje te głosy alarmujące, — nie liberalizm zmusza nas do wystąpienia przeciw arcypasterzowi naszemu, lecz dobrze zrozumiany interes ojczyzny.

Na zakończenie tych smutnych refleksyi poczytujemy sobie za obowiązek poświęcić słów kilka stanowisku, jakie w sprawie ks.

Bartscha zajął „Dziennik Poznański“. Odnośny artykuł organu tego zdradza między wierszami, że cios, który z tumskiej wyżyny uderzył w społeczeństwo polskie, zabolał i przeraził kierowników redakcyjnych; właściwa jednak „Dziennikowi“ chwiejność i lękliwość nie pozwala mu myśli ukrytej zamienić w drukowane słowo, a konsekwencyą tej typowej polityki „grzecznych dzieci“ jest artykuł słodkawy, bez nerwu, bez kości, z piętnem sofizmatu na czole. Spodziewaliśmy się, że nowa redakcya wyrazistsze odsłoni oblicze, dziś jednak jesteśmy zniewolani powtórzyć ironiczny komentarz „Posener Zeitung“: Dobrowolski redivivus.

„Dziennik Poznański“ przyznaje wspaniałomyślnie, że ks. Bartsch spełnił tylko obowiązek Polaka, że pisząc list do p. Gronostaja, był zupełnie w prawie swojem i że winić go o to nie można. Wypowiedziawszy jednak to zuchwałe słowo, rejteruje natychmiast jak na „grzecznego chłopczyka“ przystało, i takim adwokackim wykrętem rozstrzyga sprawę na korzyść trybunału, potępiającego księdza — patryotę:

„Jeźli w rzeczy samej, tj. w apostrofie wystosowanej przez ks. Bartscha do Gronostaja, żadnej winy nie widzimy, to nie chcielibyśmy przez to twierdzić, że postępowanie ks. proboszcza Bartscha jest bez zarzutu.

„Uważamy przeciwnie, że ks. proboszcz Bartsch zawinił w tej sprawie formą, w jaką ubrał swą odpowiedź daną Gronostajowi, a zdaje nam się, że także zarzut mógłby go spotkać za sposób, w jaki w znanem sprostowaniu swojem starał się postępowanie swoje wytłomaczyć. I jeśli Najprzewielebniejszy nasz Arcypasterz uważał za potrzebne ks. Bartschowi przesłać monitum, którego odebranie tenże poświadcza, to sądzimy, że prawdopodobnie napomnienie owo tych dwóch przez nas wytkniętych punktów się tyczyło. — Ponieważ atoli brzmienie dosłowne udzielonego ks. Bartschowi monitum nie jest nam znane, powyższego twierdzenia z tą pewnością, jakiejbyśmy sobie chętnie w tej sprawie życzyli, postawić nie możemy.

„Przypuszczamy, że Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup może jeszcze inny powód uważał za dość ważny, aby ze swej strony w rzeczonej sprawie zabrać głos i to w formie napomnienia przysłanego księdzu Bartschowi.

„Wstrzymujemy się od rozbierania tych możliwych innych powodów, gdyż jesteśmy przekonani, że Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup, chcąc spełnić wysokie zadanie i wielkie a trudne obowiązki, przywiązane do stanowiska Naczelnika kościoła w naszej dzielnicy, widzi się nieraz spowodowanym do użycia środków, które nie zawsze mogą być sympatycznemi, ale w kórych konieczność wierzyć powinno nie być trudnem dla społeczeństwa, które zna księdza Arcypasterza i które zna sytuacyę, — wstrzymujemy się i dla tego od dalszego rozbierania tej sprawy, ponieważ i my nie chcemy ani możemy na ciernistą drogę Najprzew. ks. Arcypasterza dorzucać kamieni.“

Ten miękki głosik „politycznego rzezańca“, jak to już od lat kilku „Dziennik Poznański“ w szerokich kołach Księstwa nazywają, nie wymaga żadnych komentarzy, bo nietylko treścią swoją, lecz tonem i formą zdradza całą połowiczność i całą tchórzliwość autorów. Chcielibyśmy tylko sprostować obliczone na łatwowierność lub krótką pamięć czytelników twierdzenie, jakoby „forma“ listu ks. Bartscha była rażąca, nieprzyzwoitą, stanowi kapłańskiemu ubliżającą. List ten publikowany w „Gońcu Wielkopolskim“ nie zawiera żadnych jaskrawych wyrażeń lub zwrotów. Jest to sobie dobroduszne upomnienie sędziwego pasterza, wysłane pod adresem zbłąkanej owieczki. Wieje z tego listu jakieś tchnienie ojcowskie i odrobina lekkiej jowialności, — nic więcej. Nie pisał go polityk wielki i dyplomata, nie pisał wytworny stylista ani biegły adwokat, tylko proboszcz poczciwy, przywykły pouczać prosto, serdecznie, bez żółci parafian swoich. Podobnie i późniejsze sprostowanie, które ks. Bartsch w sprawie tej publikował, a z którego „Dziennik Poznański“ bije dziś kapitał, by uzasadnić „monitum kanoniczne“, nie zawiera nic jaskrawego i nieprzyzwoitego, a jako odpowiedź na ostre inwektywy Hakatystów odznacza się nawet uderzającem umiarkowaniem. Z tej strony zaczepiać księdza-patryotę uważamy za pomysł bardzo nieszczęśliwy, a najmniej odpowiedni dla „Dziennika“, który w przeciwieństwie do „Kuryera“ uchodzić pragnie za organ o wyraźnej barwie narodowej.

Proboszczowi z Wonieścia należy się cześć najgłębsza za obronę ojczystego języka, a za krzywdę doznaną ze strony organów „ładu i porządku“ niechaj przyjmie to zapewnienie, że trzeźwe obywatelstwo nie solidaryzuje się bynajmniej z sędziami jego i błogosławi mu z uczuciem wielkiej i prawdziwej miłości.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Solidarność Koła polskiego w Wiedniu.

W lwowskim „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

Pospieszne przygotowywanie list wyborczych z piątej kuryi nasuwa, pomimo zaprzeczeń półurzędowych, przypuszczenie, że wkrótce mogą się odbyć wybory do Rady państwa, ma się rozumieć według nowej ustawy. Zaznaczamy to warunkowo, bo wierzymy, że hr. Badeni wolałby je odłożyć do wiosny i rządzić tymczasem z izbą, którą zna, od której wie, czego się spodziewać może. Ze względu jednak na stosunek lewicy niemieckiej do rządu i na sprawę ugody z Węgrami wcześniejsze rozwiązanie Rady państwa nie jest nieprawdopodobnem. Centralny Komitet wyborczy zaczął już przygotowywać t. zw. opinię publiczną, a powtarzające się coraz częściej zakazy zgromadzeń publicznych lub nawet prywatnych, za zaproszeniami zwoływanych, świadczą, że zbliża się chwila stanowcza.

W poprzednim numerze mówiliśmy już o uchwale komitetu centralnego, który ze-

---

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

W dawniejszym pokoju szkolnym domu Barancowów siedzi pochylona nad stolikiem młoda ośmnastoletnia dziewczyna, wysoka i smukła, z delikatnym, jakby rzeźbionym profilem, błękitnemi, marzącemi oczyma, ocienionemi czarną rzęsą. Przed nią na stole leży otwarta książka, tomik Dobrolubowa, widać jednak, że trudno jej skoncentrować myśli na tem, co czyta. Co chwilę podnosi głowę, opiera się na poręczy krzesła, ręce jej bawią się kościanym nożem do rozcinania papieru, w oczach widać naprężony wyraz oczekiwania.

Trudno byłoby poznać w tej młodej piękności dawną, chudą, opaloną, napół dorosłą Wierę. Od owej pamiętnej rozmowy z Wasylcewem upłynęło lat trzy. Zewnętrznie czas ten minął bez wrażeń i wstrząśnień, dla Wiery jednak był on pełen treści. Przyjaźń z Wasylcewem utrwalała się coraz bardziej, ale w zamian odsunęła się Wiera zupełnie od swoich. Siostry znudziwszy się prześladowaniem jej z powodu wielbiciela, zrobiły krzyżyk nad nią. Ponieważ zbliżenie to nastąpiło wtedy, kiedy Wiera jeszcze była małem dziewczęciem, nie uważali rodzice w swej niedbałości za potrzebne przeszkadzać temu, gdy Wiera już była dorosłą.

W ostatnich czasach jednak spadły akcye Wasylcewa w oczach sąsiadów bardzo nisko. Opowiadano, że popełnił kilka ważnych przestępstw. Po pierwsze odstąpił chłopom grunta, za które dawniej płacili czynsz, a przez to nietylko sam poniósł wielką szkodę, ale dał innym powiatom zły przykład; powtóre podejrzywano, że miesza się w obce interesy, że daje obcym chłopom rady i przez to niszczy niejedną dobrze obmyślaną kombinacyę dziedzica.

Chociaż nie można mu było nic niezgodnego z prawem dowieść, byli wszyscy tego mniemania, że on się bynajmniej tak nie zachowuje, jak powinien, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zdawał się zapominać, że zesłańcy polityczni powinni być nadzwyczaj ostrożni.

Jeden ze znajomych usiłował nawet lekko go upomnieć, powiedział mu, że już gubernator zaczyna na niego zęby ostrzyć. Nic to jednak nie pomogło.

Kiedy tak właściciele gniewali się na Wasylcewa, chłopi kochali go nadzwyczaj i cieszyli się jego obecnością. Z początku zachowywali się lękliwie i niedowierzająco, potem myśleli, że musi być głupi. Przekonali się jednak powoli, że nie można było postępowania jego tłomaczyć głupotą. Widzieli, że zawsze, ilekrotnie się do niego zwrócili, znajdowali pomoc, lub radę. Od tego czasu nie mógł się ich pozbyć. Gdy mieli jakąś familijną sprawę do załatwienia, lub prośbę sądową do napisania, cisnęli się tłumem do niego.

W wolnych chwilach czytywała Wiera z Wasylcewem i prowadzili długie nieskończone rozmowy, dotyczące kwestyi abstrakcyjnych. Jak przed trzema laty, mówili i teraz o współczesnych męczenników. Wiera tak jak wtedy, tysiąc razy silniej niż wtedy pragnie wstąpić w ich ślady.

Ale korona męczeńska, to kiedyś później w przyszłości; teraz jest jej życie piękne i z każdym dniem staje się piękniejsze i pełniejsze treści. Tylko ostatnie dni były trochę smutne i nudne, Wasylcew musiał w sprawach chłopów wyjechać na dwa tygodnie. Strasznie leniwie czas przechodzi, kiedy nie ma nadziei zobaczyć się wieczór z przyjacielem i wygadać. Niema się do niczego ochoty, nic się nie udaje. Ale dzięki Bogu, ten czas już się skończył. Dziś po obiedzie przybiegł chłopiec od sąsiada z wiadomością, że pan przyjechał i że będzie u nich na herbacie.

— On tu będzie wkrótce.

Gwałtowny wybuch niepowstrzymanej

brał się na naradę 8 lipca. Wkrótce potem hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił w dziennikach list otwarty, wyjaśniający poglądy komitetu i obiecujący wyborcom wszelką swobodę. P. Dzieduszycki, który przed rokiem także w liście otwartym wzywał wyborców, żeby nie głosowali na radykałów, na ludzi pragnących wywrócić porządek społeczny, nie chce teraz krępować swobody przekonań, pozwala łaskawie ubiegać się o mandaty kandydatom najjaskrawszym, zgodziłby się nawet bodaj na socyalistów, byle tylko zobowiązali się wstąpić do Koła i zachować tam solidarność.

„Da liegt der Hund begraben". Widocznie solidarność jest najcenniejszem dobrem, złośliwi mówią — najkorzystniejszym interesem dla dzisiejszych przedstawicieli Galicyi. Ażeby ocalić to święte „palladium" rządów szlacheckich, gotowi są do ofiar znacznych, bo spodziewają się następnie dzięki tej zasadzie, powetować sobie straty i szkody. P. Dzieduszycki „enfant terrible" obozu zachowawczego, lekkomyślnie odsłonił przeciwnikom najsłabszy punkt pozycyi, na który z pewnością główny atak skierują. Niewątpliwie ani stronnictwo ludowe ani socyaliści na żaden kompromis w tej sprawie się nie zgodzą. Zasadę solidarności poselskiej możnaby ocalić jedynie ścisłem określeniem jej granic, jak to poprzednio niektóre pisma radziły. Tymczasem jej obrońcy o żadnych zmianach słyszeć nie chcą i domagają się solidarności zupełnej, twierdząc dowolnie, że „każda sprawa w parlamencie, w którym Polacy zasiadają obok innych, jest narodową."

Zasada w ten sposób sformułowana jest po prostu niederzecznością i pozwalamy sobie wątpić, czy nawet większość członków komitetu centralnego zgadza się na zdanie swego prezesa. Przeciwnicy bezwzględnej solidarności postawili i wciąż powtarzają pytanie: kiedy, w jakiej sprawie solidarność Koła polskiego okazała się niezbędnie potrzebną i pożyteczną dla kraju? Na to pytanie nikt dotychczas nie odpowiedział, a frazesy, że „o to nie wolno się Polakom spierać" nie przekonają wątpiących.

Jedynym argumentem, mającym jakiś pozór słuszności, jest zdanie: „Wobec ludzi, którzy nie są Polakami, musimy występować jako jeden mąż, jako jeden naród, skoro nie ma politycznego organizmu narodowego, któryby w imieniu wszystkich Polaków przemawiał." Gdyby Koło chociaż raz jeden obowiązek ten spełniło, miałoby podstawę do obrony solidarności. Ale czy kiedykolwiek zaprotestowało przeciw gwałtom i bezprawiom, popełnianym w Prusiech i Rosyi, czy wystąpiło kiedykolwiek w imieniu narodu polskiego? Nie, Koło zdobyło się tylko „w imieniu wszystkich Polaków" na złożenie hołdu pośmiertnego Aleksandrowi III., i ten jeden poseł, który protestem swoim uczucia całego ogółu wyraził, zerwać musiał solidarność.

List hr. Dzieduszyckiego jest bądź co bądź abdykacyą ze stanowiska, dotychczas zajmowanego przez stronnictwa rządzące. Uznać one musiały pracowitość ruchu ludowego, ale uznały za późno, żeby ocalić to, o co najwięcej im chodzi. Stronnictwo, które abdykuje, właściwie przegrało już sprawę, chociaż wątpliwości nie ulega, że w przyszłych wyborach zdobędzie jeszcze większość znaczną mandatów. Straciło przywilej przedstawicielstwa, który stanowił jego siłę, czuje to i rozumie, chwyta się więc rozpaczliwie zasady solidarności — bo to ostatnia deska ratunku. Wybranie do parlamentu, chociażby kilku tylko niezależnych posłów polskich, wytworzy bardzo niebezpieczne dla Koła współzawodnictwo. Posłowie ci mają w ręku niezawodny środek zyskania popularności — interpelacye, które dotychczas w sprawach żywo obchodzących opinię publiczną w kraju, wnosili zazwyczaj Niemcy lub Czesi. Ze 119 interpelacyi, wniesionych do rządu w ciągu ostatnich 9 miesięcy, jedną tylko podpisało Koło. O krzywdy osób pojedyńczych, gmin, miast, całych warstw ludności, lub nawet całego kraju upominali się zwykle w Radzie państwa posłowie obcy. Jeżeli w przyszłości niezależni posłowie polscy energicznie ale rozważnie interpelować będą w sprawach galicyjskich, to albo zmuszą Koło do zmiany taktyki, albo osłabią bardzo stanowisko jego w kraju.

Niepomyślnym również dla polityki Koła objawem jest usuwanie się posłów dotychczasowych z życia publicznego. Nie chce posłować do Rady państwa p. Szczepanowski, składa mandat ks. Kopyciński, jeden z niewielu posłów, przychylnych sprawie ludu. Ustąpienie tych dwóch posłów jest faktem znamiennym. P. Szczepanowski, człowiek ambitny i wrażliwy, nie chce zapewne narażać się na możliwą porażkę i zniechęcił się do działalności politycznej, w której nieszczególnie mu się wiodło. Sojusz z zachowawcami skompromitował go w opinii publicznej, przyjaciele jego, pp. Rutowski i Lewicki, zbankrutowali moralnie, sławy ani wpływu nie zyskał. Jest człowiekiem rozumnym i widzi, że dalej tą drogą iść nie warto, a na nową wstąpić nie chce lub nie może. Ks. Kopyciński wybrany był przez lud, wbrew stronnictwu rządzącemu, które go nazywało czerwonym radykałem i oskarżało, że „nóż zakrwawiony chowa pod suknią kapłańską". W kole przystosował się powoli do większości, ale gdy ruch ludowy się rozwinął, gdy wypadało mu oświadczyć się za jedną lub drugą stroną, poczuł, że dwom panom służyć nie może. Zaczyna się więc z początku dobrowolna „eliminacya gatunków pośrednich."

* * *

Próbka „równouprawnienia".

W „Nowinach raciborskich" czytamy:

„Szan. Czytelnicy przypominają sobie z pewnością jeszcze dobrze, cośmy na początku lipca pisali o obchodzie czwartej rocznicy katolickiego Towarzystwa Przemysłowego i o trudnościach, jakie Towarzystwo wówczas doznało ze strony policyi. Ponieważ policya zakazała pochodu, Towarzystwo użaliło się telegraficznie u prezydenta regencyi opolskiej, ale bez skutku. W trzy tygodnie po odbytej uroczystości otrzymano bowiem z Opola odpowiedź, która w przekładzie polskim brzmi jak następuje:

„Na telegraficznie przesłane zażalenie z dnia 4 t m. oświadczam Panu stosownie do uwiadomienia, które tego samego dnia przysłałem, iż wedle sprawozdania, którego zażądałem od zarządu policyjnego w Katowicach, na publiczny pochód, jaki tamtejsze Towarzystwo Górnoszlązkich Przemysłowców

---

radości owładnął Wierę, nie mogła usiedzieć na miejscu, odrzuciła książkę i podeszła do okna. Ukośne promienie zachodzącego słońca oblały ją czerwienią, przymknęła oczy przed niemi.

— Jak pięknie jest na dworze, jeszcze nigdy, nigdy nie było tak cudownie, a jak wszystko rośnie; dziś rano jeszcze to wzgórze było prawie nagie, a teraz można zbierać garściami pierwiosnki i dzwonki, jakgdyby już takie rozwinięte z ziemi wyszły. Bajka opowiada o jednym chłopcu, który miał tak dobry wzrok, że widział jak trawa rośnie. Na wiosnę to nic nadzwyczajnego, gdybym ja tylko lepszy wzrok miała i jabym to mogła.... Cóżto? kukułka, odezwała się w lesie, pierwsza tej wiosny. O Boże, jest tak pięknie, że prawie boleśnie, chce się płakać!

Gdy Wasylcew wreszcie wszedł do pokoju, rzuciła się Wiera ku niemu z tak gwałtowną radością, że straciła swe zwykłe panowanie nad sobą. Ujął jej obie ręce i patrzył na nią z czułością i zachwytem.

— Co się z panią stało? nie poznałem pani na pierwszy rzut oka: przed dwoma tygodniami zostawiłem dziewczynkę, a znajduję...

Nie dopowiedział, ale spojrzenie jego domówiło reszty.

Twarz Wiery pokryła się rumieńcem, spuściła oczy. Jest jej tak dobrze, tak radośnie.

Te dwa tygodnie sprowadziły rzeczywiście wielką zmianę. W jego obecności nie były nigdy jej ręce tak zimne, a twarz tak płonąca. Zaczęła układać książki na stoliku, aby ukryć wzruszenie.

— Nie, dziś nie będziemy czytali.

Usiadł przy otwartym oknie i zapalił papierosa. Wiera usiadła obok niego, serce jej biło szybko, szybko, jak ptak spłoszony.

Na dworze ciemniało. Niebo w górze było ciemnobłękitne, na zachodzie rozjaśniało się, a horyzont obrzeżony był jasnemi bursztynowemi pasmami. Żaby w stawie zarechotały, w kątach pokoju słychać było lekkie brzęczenie komarów, chrząszcz przeleciał koło okna. W krzakach oddzielających kuchnię od ogrodu, błysnęło coś jasnego. Kobieta w chustce na głowie stanęła tam przez chwilę niepewna, rozglądając się dokoła, czy nikt za nią nie idzie, potem poszła szybko w stronę lasu. Po krótkiej chwili słychać było stamtąd cichy szept mężczyzny i szczęśliwy śmiech. Z dalekiego folwarku dochodziły tęskne tony fujarki pasterskiej.

— Opowiedz mi pan o tej sprawie, słyszałam dzisiaj o tem tak wiele — powiada Wiera nagle, ale widocznie zmusza się do mówienia; głos jej brzmi nienaturalnie.

Wasylcew zrywa się, jak ze snu zbudzony.

— Tak, pojmuję, że mnie posądzają — powiedział, ręką trąc czoło — ale nie wątpię, że opinię przerobię na korzyść chłopów, wszystko to opowiem pani szczegółowo, ale później, teraz nie mogę!...

Znowu parę minut trwało milczenie, tylko komary brzęczą i pasterz skarży się boleśnie.

— Wiero, czy pani sobie przypomina naszą rozprawę z przed trzech lat?... Wtedy byłem tak pewny, że to się nigdy nie stanie... a teraz... Wiero, powiedz, czy wydaję ci się bardzo starym?

Te ostatnie słowa wyszeptał drżącym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Wiera chciała coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej głosu.

Bóg wie, jak się to stało, że jej ręka znalazła się w ręce Wasylcewa. Oddech zaparł się w ich piersiach, stoją bez ruchu.

— Stefanie Michałowicz, Wiero! — słychać z korytarza głos Lizy.

Wasylcew zerwał się szybko.

— Do jutra — powiedział — przez niskie okno wszedł do ogrodu i zniknął w ciemnościach.

Wonna, podniecająca noc wiosenna, pełna tajemnego uroku wisi na niebie. Światła we wsi pogasły; robi się ciszej, coraz ciszej. Fujarka pasterska zamilkła dawno, żaby i komary się uspokoiły. Od czasu do czasu słychać tylko dziwny szum w krzakach, coś pluszcze w strumieniu, albo wiatr przynosi wycie samotnego psa, którego cisza tej cudownej nocy niepokoi. Wiera nie może spać, jest jej duszno w wielkiej chłodnej sypialni, którą teraz zamieszkuje sama.

wespół z innemi towarzystwami urządzić zamierzało, policya nie dała zezwolenia życzonego z tego powodu, ponieważ zarząd policyi miał obawę, że takowy doprowadziłby do zakłócenia publicznego porządku. Po zbadaniu stosunków nie mogę wystąpić przeciwko temu zapatrywaniu. Jak jeszcze niedawno stwierdzono wyrokiem sądowym, towarzystwo, którem Wielmożny Pan kierujesz, chociaż zewnętrznie przybrało inne nazwanie, dąży w rzeczywistości do narodowo polskich, ku szerzeniu i popieraniu polskości skierowanych celów.

Reszta na zgromadzenie dnia 4 t. m. zaproszonych towarzystw zajmuje takie samo lub podobne, niemczyźnie wrogie stanowisko. W takich warunkach trzeba było w zamiarze użycia publicznych ulic miasta Katowic do urządzenia pochodu wspomnianych towarzystw dopatrzeć się oczywistego wyzywania niemiecko usposobionej ludności i umyślnego ranienia jej narodowych i patryotycznych uczuć. Jeżeli przeto zarząd policyi od podobnej, z gruntu nieuprawionej demonstracyi obronił ludność niemiecką i z tego powodu odmówił zezwolenia na pochód, natenczas postąpił sobie jedynie wedle obowiązku, a w niniejszym wypadku można mu tem mniej zarzucić, że skorzystał z przysługującego mu na mocy paragrafu 10-go ustawy o stowarzyszeniach prawa, ponieważ skutkiem zaostrzenia narodowych przeciwieństw, wywołanego przez agitacyę t. zw. wielkopolskiej partyi, obawiać się musiał, że ulicami miasta Katowic postępujący polski pochód mógłby dać powód nietylko do zatamowania ruchu, ale także do bezpośrednich zakłóceń publicznego porządku. Zażalenie przez Wnego Pana wniesione muszę przeto jako nieuzasadnione odrzucić.

Prezydent regencyjny
podp. v. Bitter."

Nie wchodzimy w rozbiór zarzutów, które pan prezydent Towarzystwu katowickiemu poczynił, bo to sprawa zupełnie jasna: warto jednak zaznaczyć, że przy uroczystości „Kriegervereinów" i pochodzie ich, w którym wzięło udział około czy przeszło 4 tysiące ludzi, a skutkiem którego ruch na ulicach był od rana aż do godz. 4 tamowany, policya mniej się obawiała o hamowanie ruchu."

* * *

Refleksye polityczne Jakóba Bójki

Znany i u nas w Poznaniu, sympatyczny poseł ludowy Jakób Bojko, zamieścił w lwowskim „Przyjacielu ludu" szereg ciekawych artykułów o ruchu demokratycznym w Galicyi. Z artykułów tych przytaczamy ustęp następujący:

„Od czasu wstąpienia do sejmu śledziłem bacznie, co się w kraju dla nas dzieje, jak się szlachcice i inteligencya w sejmie z nami obchodzą, a to dla tego, bo chciałem poznać, czy my nie jesteśmy przypadkowo na bezdrożu.

Bo człowiek nigdy nie powinien nikomu na ślepo wierzyć, a ludzie są na świecie rozmaici. Dziś, gdy miałem sposobność przekonać się o tej miłości bratniej, muszę wam w krótkości przedstawić same fakta, a wy sobie wydajcie sami sąd i zrozumiejcie, kto was okłamuje i kogoby wykląć i potępić należało, a kogo się tendencyjnie piętnuje.

Wiadomo wam, jak niesumienne stanowisko zajęli stańczycy, wraz z władzami świeckiemi, duchowieństwem, a nawet i z tak zwaną demokracyą, wobec stronnictwa, któreśmy zawiązali w Rzeszowie. Postulata naszego stronnictwa, skromne, podobały się ludziom dobrej woli, a nawet światlejsze duchowieństwo wyrażało się o nich pochlebnie, z wyjątkiem o budowie budynków gospodarskich plebańskich. Prasa gadzinowa, rozumie się, uderzyła na to stronnictwo z całą zjadliwością i nazwała to konfederacyą rzeszowską itp. Bądźcobądź udało się temu stronnictwu przeprowadzić do sejmu kilku posłów, a w wielu powiatach tylko dzięki strasznym gwałtom rządowym i stańczykowskim wydarli ludowi małą większością głosów mandaty. Na długo? Na 6 lat. Po wyborach „Czas", polecany gorąco przez ks. biskupów do czytania księżom i wiernym, ryknął głosem smoczym: „precz ze sejmu z chłopami, nawet i z takimi, jak Potoczek i Kramarczyk, bo to balast."

Czytelnicy „Czasu" „wysoka szlachta" i — niestety — wielu księży, czerpiąc całą wiedzę polityczną tylko z tego i jemu podobnych organów, krzyczeli co mogli po gazetach, po ambonach, a co smutniejsza po konfesyonałach, ażeby tylko posła chłopa poniżyć i w złem świetle go przedstawić. Nie chcę pisać tego, co np. ksiadz pleban Suwada w Luszowicach na ten temat w kościele biednemu ludowi głosi. Będzie dość czasu pomówić o tem potem. Nie chcę pisać, jakie i gdzie ludowi starostwa prowokacye robiły, nie chcę też zatrzymywać się nad tem, że gdy zaszło kilku ludzi do starostwa po paszporta za Wisłę, to im p. starosta powiedział: „Idźcie sobie po paszporta do posła N.", że rewizorowie niektórzy, np. w dąbrowskim powiecie, nie wiem czy ze swego, czy z czyjego natchnienia głosili, że dla tego nie wolno trzody sprzedawać, bo ście Bojkę wybierali itp. i dla facecyi jedynie wspomnę o drobnym fakcie, który świadczy, jak to wszystko ludziom w głowach porządek zepsuło.

Przed samem otwarciem sejmu byłem w sprawie osobistej we Lwowie, a gdym wrócił ztamtąd, dewotki opowiadały, żem jeździł wyrzekać się Pana Jezusa i całą tę sprawę jedna z nich w następujący przedstawiała sposób: „Kazali mu wyrzec się Pana Jezusa przed słupkiem i wyrzekł się; kazali się mu wyrzec Matki Boskiej aż się rozpłakał Bojko, ale się też wyrzekł." Wiem doskonale, kto i gdzie te pobożne duszyczki tak informował, ale niech to będzie na razie tajemnicą, aż uzbieram więcej takich facecyi.

Po wyborach poczęła się pisanina o ruchu ludowym w gazetach. Wszystkie pisma niby polskie (prócz, rozumie się, katolickiego „Czasu") przyznawały, choć niewyraźnie, że chłopi, których komitet centralny aż trzech postawił, powinni brać udział w życiu politycznem, ale wszystkie jednomyślnie dopatrzyły się, że ten ruch ludowy, to jest owoc agitatorów, czyli, jak to np. p. Merunowicz Teofil powiada w „Gazecie Narodowej," „to jest agitacya stronnictw, stojących właściwie po za ludem, a spekulujących tylko na to, ażeby ową siłę, jaka tkwi w masach ludowych, dla swoich celów ujarzmić i wyzyskać." I żeby już sprawę ubić, obryzgał jadowicie ruch stronnictwa ludowego i wmawia w nie-

---

Wychodzi z łóżka, otwiera okno i przykłada rozpaloną twarz do zimnych szyb, ale to jej nie daje ochłody; twarz pali ją jak przedtem, a słodkie, ubezwładniające uczucie, wzruszenie nieokreślone, ale nadzwyczaj rozkoszne, opanowywa całą jej istotą. Jak cicho dokoła — lasek wydaje się teraz duży i ciemny, drzewa stoją teraz takie wielkie, tak gęsto tuż obok siebie, jakgdyby ścieśnione miały nad czemś obradować, usiłowały ukryć jakąś ważną tajemnicę. Śród tej ciszy słychać nagle cichy turkot; to trójka pocztowa, jadąca po szerokim gościńcu. Powietrze jest tak czyste, że słychać dźwięk dzwonka zdaleka, blisko o pięć wiorst; na chwilę umilkła, zapewne jest teraz trójka za małą górką, ale znowu słychać ją wyraźnie, bliżej, coraz bliżej; zdaje się jechać szybko w pełnym galopie; teraz słychać trzask bicza, głos woźnicy i tupot koni. Turkot znowu się oddala, jakgdyby nagle zduszony, zapewne trójka stanęła gdzieś w pobliżu.

— Dziwne, doprawdy dziwne, jak taki dźwięk dzwonka pocztowego w nocy rozdraźnia, przecież nie można niczego się obawiać; zapewne nadjechał sędzia robić poszukiwania o szkodę w polu.

A przecież, na dźwięk ten srebrny, zasłyszany z dalekiego gościńca, bije serce silniej, tęskniej, w dal za nieznanemi krajami.

— Boże, jak piękne jest życie!

Wiera składa nieświadomie ręce, jak do modlitwy.

Wasylcew nazywa się materyalistą i Wiera jest też poznajomiona ze wszystkiemi nowemi teoryami, jest przeświadczoną, że nie wierzy w Boga. Ale dusza jej jest w tej chwili przepełnioną nieograniczoną wdzięcznością dla kogoś, który jej dał szczęście, i według starego swego dziecinnego, nie dającego się wykorzenić zwyczaju, zwraca się z gorącą modlitwą do Boga, w którego istnienie nie wierzy.

— O Boże, wiem, że na ziemi jest wiele bólu, wiele niesprawiedliwości, wiele nędzy, chcę ludziom służyć, gotową jestem za nich dać życie! Ale później, później! O Boże, teraz pragnę... ogromnie pragnę szczęścia!

Na krótką chwilę zasnęła Wiera snem niespokojnym.

„Do jutra." Ta myśl zbudziła ją nagle i przejęła słodkim dreszczem i gorączką rozkosznego oczekiwania. Zorza poranna stała na niebie, koguty już często piały, wróble ćwierkały hałaśliwie pod oknem, Wiera rzuciła się na łóżko z twarzą gorącą i zimnemi rękami. Dopiero po wschodzie słońca zasnęła silnym, ołowianym snem. Spała długo. Było już późno, prawie południe, gdy owładnęło ją znowu uczucie czegoś nadzwyczaj szczęśliwego, co ją wczoraj spotkało.

— Jak to pięknie obudzić się drugiego dnia, po wielkiej, niespodziewanej radości.

Wiera leży w łóżku i przeciąga się.

— Ale cóż ja robię właściwie — pomyślała, wyskoczyła z łóżka, zaczęła się szybko ubierać, spojrzała na zegarek, widziała, że już było późno, że lekcya już i tak stracona. Nie warto więc się spieszyć. Położyła się znowu do łóżka, zamknęła oczy, marząc o swem bliskiem szczęściu.

Pokojowa weszła cicho do pokoju, popatrzyła ostrożnie, czy panienka jeszcze śpi.

— Anisio, mateczko, czemuś mnie nie zbudziła wcześniej.

— Byłam tu pięć razy, panienka spała tak dobrze, że było mi żal ją budzić.

— Jaką ona dziwną twarz ma dzisiaj — pomyślała Wiera.

— Panienko, nieszczęście stało się tu dzisiaj — powiedziała Anisia tym głosem dziwnym, jakim zwykle służące udzielają ważnych wiadomości.

— Co się stało — zawołała Wiera zrywając się; nie wie jeszcze o co chodzi, ale przeczuwa nieszczęście.

— Sąsiada napadła dziś w nocy policya.

VII.

Jak grom spadła ta straszna wieść: tej nocy zatrzymał się znowu wózek pocztowy z kapitanem żandarmeryi i dwoma niższej rangi żandarmami przed domem Wasylcewa, kapitan pokazał dziedzicowi papier, opatrzony stemplem i pieczęcią państwową. Na papierze tym było napisane, że szlachcic Stefan Michałowicz Wasylcew jest osobisto-

go, „że ono o niczem nie myśli, tylko o tem, jakby powtórzyć straszne wypadki z r. 1846, czyli żeby szlachtę wymordować i zabrać im grunta, których mają za dużo... a księży przedstawić ludowi jako bałamutów, którzy głowy zabobonami zawracają, aby nas zdziczać“ („Gazeta Narodowa“ nr. 282 z 11 10 1895.) Tyle tylko się poseł Merunowicz dopatrzył w pracach i zamiarach stronnictwa ludowego.

Nie wiem, co za przyjemność mają podobni ludzie wmawiać w kogo to, o czem on nie myśli, czem się brzydzi, co potępia; natomiast pojmuję wybornie, że to się pisze w tym celu szatańskim, aby ruch ludowy nigdzie serca przyjaznego nie znalazł, tylko potępienie. Pamiętam, jak będąc obaj z kolegą Wójcikiem u jednego z naszych ks. biskupów, słyszeliśmy z ust tegoż zdanie o ruchu ludowym i pismach ludowych, że to wszystko ma na celu tylko wyrżnięcie szlachty i rabacyę, jaka była w r. 1846. Straszna rzecz, że ludzie nie boją się sądu Pana Boga i śmią takie insynuacye ks. biskupowi podsuwać.

— A czyta ks. biskup — pytamy — „Przyjaciela Ludu“?

— Nie, odparł — ale mnie tu tak księża mówią itd.

— To się nazywa znajomość stosunków...

Jeżeli przykro było czytać takie brednie p. Merunowicza, to z tem większą radością czytałem artykuły, pisane w „Nowej Reformie“ przez posła Romanowicza, z których wietrzyk życzliwszy wiał dla sprawy ludowej i dużo sobie obiecywałem na przyszłość po mężu, który takie zasady wyznaje. Oto jego słowa: „Nadawać większości sejmowej pozory jakiegoś nieprzyjaznego przeciw tym posłom włościańskim stanowiska, występować przeciw nim, byłoby działaniem, dla dalszego rozwoju naszego życia publicznego bardzo szkodliwem. Tych posłów przeciwnie — przygarniać, otwartemi rękami w sejmie ich przyjąć, do komisyi sejmowej wybierać, aby byli świadkami i uczestnikami prac przygotowawczych, wysłuchać ich głosów i ich życzeń, zanim jeszcze sprawy są w komisyach i w klubach zadycedowane, i w ten sposób sprawić, aby ci włościańscy posłowie czuli się w sejmie między swoimi, oto jedynie zdrowa polityka. Naturalnie, nie znaczy to, iż wszystkie ich wnioski i żądania mają być bez krytyki przyjmowane, znaczy tylko, iż nie powinno się stać nic takiego, coby większość sejmową stawiało jako z góry już przeciw posłom włościańskim uszykowaną, przeciw nim i wszystkiemu, co od nich wychodzi, uprzedzoną... Uczują się oni wtedy organiczną częścią całości, która pracuje dla dobra kraju. I to uczucie wyniosą z izby sejmowej pomiędzy tych, którzy ich wysłali. Nikt nie ma prawa powątpiewać o szczerości słów p. Bojki, wypowiedzianych w Poznaniu: „nie pod szlachtą, ale obok szlachty“ itd. („Po wyborach — przed sejmem.“ „Nowa Reforma“ nr. 262 i 254).

Nie wszyscy zatem ludzie tak pstro mieli w głowie, jak p. Merunowicz, (mimo że niby należy do lewicy), toż człek poszedł do sejmu z dobrą wiarą, że chociaż — stara prawda jak świat — są dobrzy i nie dobrzy ludzie, ale przecież i ci, co wyszli z urny przy pomocy bagnetów i pieniędzy, staną wszyscy w tym bodaj wypadku razem i bodaj jakieś okruchy rzucą ludowi, aby zaznaczyć, że dlatego tylko siłą wcisnęli się do sejmu, bo tak lud kochają i duchem chcą go bronić i koić jego rany, a choć tu i owdzie chłopów wpakowano do turmy, to głupstwo! „My czynami dowiedziemy ludowi i jego agitatorom, że błędnie o nas sądzą,“ — jak mi to jeden z posłów powiedział.

Tak czytając takie i tym podobne gadania, byłem raźnie nastrojony i myślałem napewno, że to jakoś pójdzie. Przed sejmem na parę dni spotykam się z posłem N. który mię pyta:

— A co to tam się w gminie u was stało?

— Kiedy? — pytam.

— W tych dniach — odparł.

— Nic nie wiem.

— Ponoście mieli jakieś kłopoty z kasą gminną?

— Kto to panu mówił?

— A był u mnie chłop z waszej wsi, nazywa się Lewicki, który mi mówił, że macie w kasie jakieś nieporządki, i żebym na to co poradził, ale ja odpowiedziałem mu, że macie swego posła, to ja się waszemi sprawami nie zajmuję.

A w gminie ani takiego chłopa nie było i niema, a powtóre, że w kasie mam porządek, bo rada składa się z ludzi piśmiennych i prowadzimy wspólnie, jak nigdzie, rachunki. Chciał mi tylko ten mąż tem powiedzieć niajako, żem złodziejem, albo żeby rad był, abym nim został. Ile razy spojrzałem na tego posła w sejmie, zawsze mi ten fakt stawał przed oczyma, a wówczas myślałem sobie: toś ty taki przyjaciel chłopski!“

LITERATURA I SZTUKA.

Wiadomości literackie z Paryża.

(„Rzym“ Zoli — Goncourt o japońskim malarzu Hokusai. — Tragedya majtka.)

„Rzym.“ powieść Emila Zoli, jakkolwiek od paru miesięcy ukazała się w formie książkowej i jest tłomaczona na wszystkie języki europejskie, jednakże dotychczas jeszcze wywołuje w prasie francuzkiej bezpodstawne napaści, lub też na odwrót wielbiące pochwały. Zauważyć należy, że tych ostatnich jest więcej, bo nawet umysły dogmatyczne są za Zolą. Nawet taki Franciszek Coppée, którego nikt nie może uważać za pisarza o krańcowo postępowych poglądach, powiada o Rzymie: „Tak, jak świat cały, tak i ja przeczytałem „Rzym“ Emila Zoli, i jak wszyscy, którzy już przeczytali lub czytać go będą w przyszłości, jestem olśniony talentem, siłą i pięknością tej książki. Część opisowa jest niezrównanie wspaniałą. Wywołane obrazy książką tą sprawiły, że mam nostalgię, jestem roztęskniony za „Rzymem“ i gorzko żałuję, iż nie mogę w tym roku

---

ścią, zakłócającą porządek publiczny. Dlatego proponuje mu gubernator na zasadzie pełnomocnictwa, udzielonego mu z góry, ażeby swoje dotychczasowe mieszkanie zamienił na mieszkanie we wspaniałem, chociaż nieco odległem mieście, w Wiatce. Trzy dni i trzy noce zostawiają mu do uporządkowania swoich interesów, potem ma być wysłany na miejsce przeznaczenia.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość na całą rodzinę Barancowów. Najbardziej przeląkł się hrabia. Posiadał on tę właściwość, nierzadką w Rosyi, że przy zamkniętych drzwiach odgrywał rolę liberała i ostrzył sobie język na koszt rządu, ale niech tylko zjawił się błękitny kołnierz, zwijał się w sobie i stawał najspokojniejszym synem wszechmocnego cara.

W tym wypadku tchórzostwo to zwiększało jeszcze jego wyrzuty; jak mógł pozwolić na takie zbliżenie między własną córką a tym wolnomyślicielem — gdzie miał oczy swoje?!

Wasylcew, wczoraj jeszcze poważany, zamożny właściciel, dobra partya, stał się nagle bezdomym włóczęgą, człowiekiem, z którym znajomość mogła się stać niebezpieczną, o małżeństwie między nim, a jego córką nie mogło być mowy obecnie, a dziewczyna została nazawsze skompromitowaną.

Jak to zwykle dzieje się w życiu, usiłował hrabia przytłumić uczucie własnej odpowiedzialności, wyrzucając innym nieostrożne postępowanie.

— Widzisz pani, ty potrafisz się tylko zajmować twemi nerwami, a na córkę nic uważasz — mówił do żony.

Hrabina sama odczuwała, jak wielką hańbą okrywa jej dom ten cały wypadek, już teraz miała przedsmak tych wszystkich niewinnych pytań i litościwych kondolencyi, jakiemi ją panie znajome przy pierwszej sposobności zarzucać będą.

W całym domu panował ów instynktowny strach, jaki widok błękitnego munduru w Rosyi wywołuje.

Wszyscy żyli w oczekiwaniu strasznego, nieuniknionego nieszczęścia.

— Policya, policya jedzie do nas — z taką wiadomością przybiegła raz dziewczynka, usłyszawszy na gościńcu dzwonek pocztowy. Wszyscy ze strachu potracili głowy. Hrabina pobiegła do sypialni i położyła się do łóżka; było to najbezpieczniejsze miejsce schronienia. Hrabia wpadł do pokoju Wiery, porwał obiema rękami książki i pisma bez wyboru i sam rzucił je do pieca, w którym na nieszczęście palił się ogień. Służba rozbiegła się. Okazało się, że obawa była próżną, przejeżdżał urzędnik podatkowy, ale długo jeszcze nie mogli przyjść do siebie po przebytem wzruszeniu.

Na Wierę spadł ten cios tak niespodzianie, tak druzgocąco, że była nim ogłuszona i nie mogła naraz objąć całej głębi swojego nieszczęścia. Ta myśl, że miano jej Wasylcewa zabrać nazawsze, była tak straszną, że nie znalazła miejsca w jej głowie. Co będzie po jego odjeździe, o tem nie myślała.

To „później“ wydawało jej się ciemną, bezdenną otchłanią, w którą bez zawrotu głowy spojrzeć nie mogła. Teraz dręczyła ją jedna wielka troska i straszna obawa: żeby on nie odjechał, nie pożegnawszy się z nią. Widzieć go tylko raz jeszcze chociaż, chociaż godzinę, chociaż minutę, a potem niech się stanie, co chce! Zdawało jej się, że niech tylko się zobaczą, a już wszystko dobrze będzie, wszystkie jej pragnienia, wszystkie myśli koncentrowały się tylko w tem jednem: widzieć go!

Ale o spotkaniu nie mogło być mowy. Wasylcew znajdował się pod ścisłym nadzorem i Wiery pilnowano także. Cała rodzina podejrzywała bowiem, że ona gotowa jest uczynić jakiś rozpaczliwy krok. We dnie pilnowała jej matka i siostry, w nocy Anisia. Dwa dni już upłynęły, a Wiera nie mogła, pomimo usilnych starań, opuścić na chwilę domu. Nie miała nawet wiadomości o Wasylcewie, nakazano bowiem surowo służbie nie wpuszczać na podwórze nawet psa z sąsiedniego dworu.

Zostawała tylko jedna noc, jutro o świcie uprowadzą go, a potem skończy się wszystko. Na myśl o tem zdawało się Wierze, że oszaleje.

— Anisio, moja droga, moja gołąbko, puść mnie do niego tylko na godzinkę, na jedną godzinkę, nikt się o tem nie dowie.

jechać do wiecznego miasta, które lepiejbym odczuł teraz, pozostając pod wrażeniem arcydzieła napisanego przez Emila Zolę.“ Ledrain zaś, jeden z lepszych krytyków francuzkich, tak mówi w swem sprawozdaniu o „Rzymie“: „Niewiem, czy ta książka będzie miała równie wielkie powodzenie handlowe jak „Assomoir“ albo „Nana,“ lecz jestem zdania, że jest to najpiękniejszy z dotychczasowych utworów Emila Zoli. Wśród dekadentyzmu, jaki nas stopniowo ogarnia, jakże pocieszającą jest rzeczą dla krytyka stwierdzać rozrost potężnego umysłu autora „Rzymu,“ jego wzlot coraz to wyższy ku światłu i pięknu. Zola we wszystkich swych książkach wziął sobie za zadanie przedstawienie całości rzeczy, którą traktuje. Pojedyncze figury mało go obchodzą, wprowadza je na scenę jedynie dla przynęcenia czytelników, którzy zawsze żądają miłostek i efektów romantycznych, a gdy tego brak, zamykają książkę zbyt nużącą dla poziomu ich umysłu. W przedostatniej książce Zoli, w „Lourdes,“ mało jest właściwego romansu a więcej filozofii, więcej olbrzymich fresk, wśród których żyją tłumy wierzące i inteligentne duchowieństwo sceptyczne. „Rzym“ wyżej jeszcze stoi od „Lourdes,“ tu bowiem Zola prawie zupełnie usunął intrygę powieściową, a dał nam wspaniale piękny obraz współczesnego społeczeństwa rzymskiego. Jako filozof, jako pisarz, jako artysta, Zola był pociągnięty dwoistością teraźniejszego Rzymu, w którym prócz władcy w Kwirynale, jest władca, barykadujący się w Watykanie. „Rzym“ Zoli jest dziełem nadzwyczajnej piękności. Jest to zarazem utwór, pisany przez głębokiego myśliciela, gardzącego ustępstwami, idącego wprost przed siebie i wypowiadającego swe poglądy bez troski o sąd ogółu. Cześć mu się za to należy.“

* * *

Niedawno zmarły E. de Goncourt i brat jego z dawnych jeszcze czasów rozmiłowali się w sztuce japońskiej i gust ku niej rozbudzili we Francyi. Ed. de Goncourt, przez całe swe życie zbierając cenniejsze zabytki sztuki japońskiej, doszedł do słynnego dziś zbioru, oraz nabrał wielkiej znajomości w dziedzinie historyi rozwoju sztuki w Japonii; niejednokrotnie pisał w tym kierunku a na krótko przed śmiercią wydał dzieło, poświęcone wyłącznie Hokusai, którego uważa za najznakomitszego artystę japońskiego. Materyały do napisania tego dzieła autor zbierał od lat kilkunastu z pomocą japończyków, kształcących się, lub przebywających w Paryżu. Oni to dostarczyli autorowi francuzkiemu przekładu z tekstów japońskich, z listów Hokusai, oraz z napisów, jakie on zwykł był umieszczać pod swemi rysunkami i malowidłami. Naprzykład album, w którym Hokusai przedstawił tańce, zakończył uwagą: „Jeżeli w ruchach lub takcie poczyniłem pomyłki, proszę wybaczyć mi. Rysowałem podług swego marzenia a ponieważ marzenie pojedyńczego widza nie może oddać wszystkiego z pożądaną dokładnością, zatem, jeżeli zechcecie nauczyć się tańczyć, wezwijcie lepiej mistrza tańca. Wszakże, jeżeli te moje rysunki nie stworzą dobrego tancerza, pozostaną jednak albumem, notującym tańce.“ Pod albumem z krajobrazami Hokusai pisze: „Przeszłej jesjeni byłem smutny, więc by się rozerwać, zacząłem marzyć, że wędruję wśród okolicy, w której mnóstwo było mostów, a kraj taki piękny, że smutek mój się rozwiał i ustąpił miejsca szczególniejszej radości. Pochwyciłem przeto za pendzle i zacząłem malować wszystko, co widziałem w marzeniu, lękając się, że czas zatrze ślady tej miłej wędrówki.“ Edmund de Goncourt przedstawia Hokusai, jako olbrzyma sztuki japońskiej: „jest on badaczem i poetą, mistrzem prostoty, znawcą przestrzeni, giestów i ruchu; artystą, umiejącym pochwycić ze szczególniejszą prawdą istotę ludzi, zwierząt i natury. Krajobrazy jego, zdaje się, że znamy, odgadując całą słodycz, piękno lub trwogę ich wyrazu.“ Hokusai dużo pisał o sztuce, nawet o sztuce europejskiej i, mając lat siedemdziesiąt pięć, twierdził, że dopiero od lat kilku zaczął rozumieć prawdziwą budowę natury a przypuszcza, że doszedłszy do lat stu, dosięgnie pożądanej doskonałości nadania życia wszystkiemu, co zechce rysować. Wtedy każdy punkt, najdrobniejsza kreska rysunku stanowić będzie niezbędne dopełnienie, bez którego iskra życia jaśniećby niemogła. Książkę tę Hokusai podpisał: „Są to zapatrywania moje, gdy miałem lat siedemdziesiąt pięć, dawniej zwałem się Hokusai a dziś Gwakio Rojus, starzec szalenie miłujący sztukę rysowania.“

* * *

Jerzy Hugo, wnuk Wiktora Hugo, ma obecnie lat około trzydziestu, od kilku lat jest żonaty i po bardzo burzliwie spędzonej młodości, niespodziewanie wziął się do pióra i wydał temi czasy pierwszą swoją książkę pod tytułem: „Souvenirs d'un matelot.“ Są to spostrzeżenia, wrażenia i wspomnienia osobiste autora, który przez czas jakiś służył jako prosty żołnierz w marynarce francuzkiej, gdzie się zapoznał z cierpieniem, z niedostatkiem i z trudem... Książka ta jest niezwykle zajmująca pięknością formy a wzrusza prawdą ciężkich warunków bytu marynarzy na statkach wojennych. Oto z niej ustęp: „Któregoś wieczora miałem do odbycia zwykły rond o godzinie dziesiątej. Zwolna, z latarką w ręku wyszedłem po drabinach na pomost, na którym żołnierze wyznaczeni do warty przesuwali się, jak błędne cienie. Potem zeszedłem na dół a znalazłszy się pod pomostem, gdzie w zawieszonych dość nizko hamakach spali moi koledzy snem ciężkim, męczącym z powodu braku powietrza i niezdrowego gorąca, pochyliłem się, ażeby nie potrącać ich ciał, spoczywających w opuszczających się płachtach, z po za których wysuwały się i wisiały bezwładne ręce i nogi, zniszczone, nabrzmiałe, czerwone, dotykające nieledwie żelaznej podłogi. Oczy mi się kleiły z nudy i ze znużenia a może wreszcie sen tych wszystkich uśpionych oddziaływał na mnie z coraz silniejszą zaraźliwością. Chciałem coprędzej odbyć obowiązek służbowy i pójść na spoczynek, chciałem uzyskać prawo zaśnięcia. Wreszcie rond mój zbliżał się ku końcowi, gdy wtem usłyszałem jakby oddalony, stłumiony odgłos organów. Odgłos ten był tak nieśmiały, tajemniczy, że zdawać się mogło, iż dolatuje z głębi dna morskiego. Zbliżyłem się do drabiny, spuszczającej się na niższe piętro i

---

— Co panience się zachciewa, niech panienka o tem ani myśli.

Anisia przeraziła się i odganiała trwożnie rękami myśl podobną.

— Anisio, przypomnij sobie twoją młodość, opowiadałaś mi często, jak wam źle było dawniej i pomyśl: za was przecież, za chłopów cierpi Michał Stefanowicz.

— Ach panienko, moja biedna panienko, nie mów już nic, ja wiem dobrze, że on jest dobrym panem i nam go żal, bardzo żal i panienki żałujemy także. To będzie para, myśleliśmy sobie, serca nasze cieszyły się, gdyśmy na was patrzyli, ale cóż można zrobić. Pan tak chce... O moja panienko kochana, co się panience stało, rozum straciłaś gołąbko. Rzucasz się do moich nóg, ty przed taką biedną sługą.

Wiera w rozpaczy uklękła przed Anisią i całowała jej ręce.

— Anisio, jeżeli mnie nie puścisz, to wiedz, że życie moje masz na sumieniu, przysięgam na Boga ukrzyżowanego, że odbiorę sobie życie, jeżeli go nie będę mogła widzieć przed odjazdem.

Anisia nie miała tak twardego serca, z wielkim płaczem przyrzekła wreszcie, że później trochę, kiedy wszystko w domu uda się na spoczynek, wypuści panienkę tylną furtką.

Była już noc, gdy Wiera przebrana w suknie Anisi, w czarnym starym szalu na głowie, wykradła się z domu. W ostatnich dniach ochłodziło się znowu, a chociaż we dnie słońce gorąco dopiekało, wieczorem było zimno, kałuże na drogach zamarzły, cienki lód skrzypiał pod nogami Wiery, lekki dreszcz przebiegł jej ciało. Strumień, oddzielający obie wioski wylał, nie można więc było przejść zwykłą drogą przez wzgórze, należało okrążyć je i nadłożyć drogi o dwie wiorsty. Nigdy jeszcze nie była Wiera samą w nocy w polu, droga tak dobrze znana, wydała jej się zupełnie inną, jak za dnia, wszystkie przedmioty zmieniły się, nie mogła ich poznać.

Szła naprzód, nie oglądając się. Nie doznawała ani obawy, ani wzruszenia, nawet żal jej osłabł, jakgdyby lekka mgła otulała jej zmysły, nie czuła ciężaru swego ciała, nogi niosły ją same. Szła jak we dnie i przebudziła się tuż przed bramą domu Wasylcewa. Tam było ciemno, widocznie wszyscy spali, tylko z jednego okna dochodził słaby promień światła. Wiera zapukała najprzód cicho, nieśmiało, nikt się nie zjawił, zaczęła pukać silniej, coraz silniej. Dwa psy zerwały się i zaczęły wyć głośno, wreszcie usłyszała kroki. Zaspani żandarmi wetknąwszy bose nogi w buty, w mundurach zarzuconych niedbale na plecy, przyszli z latarniami otworzyć bramę.

— Co się stało, kto tu się włóczy po nocy — mruczał jeden z nich niechętnie. — Ehe, jakaś mamzell! — niechęć jego zamieniła się w zdumienie.

— Muszę się widzieć z panem — powiedziała Wiera ledwie dosłyszalnym głosem. Drżała na całem ciele, choć nie lękała się bardzo.

Żandarm podniósł latarnię wysoko, aby światło padło na twarz Wiery i zaczął się jej przyglądać bezczelnie.

— Zapewne służąca — pomyślał. Twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. — Słuchajno piękna, tobie zdaje się droga do pana dobrze znaną — powiedział z uśmiechem — ale dziś widzisz będzie troszeczkę trudniej dostać się do niego — dodał, zmieniając ton.

— Puść mnie pan, na miłość boską — błagała Wiera.

Ze słów żandarma wnosiła, że będzie musiała odejść, nie widząc swego przyjaciela.

Głos jej brzmiał błagalnie, tak rozpaczliwie, że żandarm, widocznie słaby dla rodzaju żeńskiego, nie mógł się jej oprzeć.

— No, no, nie jęcz, — uspakajał ją — zobaczymy, zobaczymy, ale kapitanowi trzeba powiedzieć.

Wpuścił Wierę, przeprowadził ją przez podwórze i kazał czekać w przedpokoju. Sam poszedł do kapitana, który się już był przebudził.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dosłyszałem coś jakby krzyk pasterza na wierzchołkach górskich. Znów wszystko ucichło i spokój zaległ na całym pancerniku; lecz znów nagle zagrały organy i śpiewne ich odgłosy były czemś niepokojącem, niezrozumiałem na tym wojennym statku, na którym wszystko milkło po wieczornej komendzie. wszystko zasypiało siłą znużenia i dyscypliny. Teraz byłem już na dolnych piętrach nigdy niewidzących światła dziennego. Tu wyraźnie już słyszałem smętną, dziką muzykę, a znów taneczne przygrywki; tańczono nawet, a przygłuszone bicie nóg po podłodze odzywało się rytmicznie. Posuwając się dalej, poznałem grę na kobzie a czerwonawa smuga światła wysuwała się z pod drzwi izdebki, będącej składem pakuł, farby i różnych przyborów, służących do czyszczenia pancernika. Jakiś głos starca czy też pijaka śpiewał niezrozumiałe słowa a noga biła takt w podłogę. Zwolna, nieśmiało, uchyliłem drzwi izdebki. Na stole paliła się dogorywająca łojówka, zatknięta w latarnię, a siedzący a raczej rozwalony na zydlu Tanguy, dozórca składu, grał na kobzie, przyciskając skórzany worek pod pachą, to znów dmąc w długą szyjkę instrumentu, lub przebierając spracowanemi palcami po dziurkowaniu fleta. Kiwał przytem głową a nogami wybijał takt, wsłuchując się w w swoję muzykę. Grał melodyę bretońską, rodzinną. Stanąłem przed nim, czekając aby mi powiedział, co znaczy to przekroczenie dyscyplinarne, jakiego się dopuszczał. lecz ku wielkiemu mojemu zadziwieniu, zupełnie mnie nie widząc grał dalej, zapatrzony, nieprzytomny a łzy płynęły mu z oczu.

— Ucisz się, usłyszą cię! Będziesz ciężko karany!

Nawet nie drgnął, i grał, śpiewał, w takt tupiąc nogami. Zacząłem go trząść za ramię. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się boleśnie, lecz grał dalej ze wzrastającym zapałem, podczas gdy łzy spływały mu wzdłuż policzków.

— Co ci jest?... Ucisz się... wszak wiesz, czem grozi ta niebezpieczna zabawka...

Tym razem usłyszał. Spojrzał na mnie i, śmiejąc się tak boleśnie, że łzą wydawał się teraz uśmiech, rzekł:

— Dziś w mojej wiosce wszyscy tańczą, bo dziś w Launion rodzice wyprawiają wesele mojej siostrze...

Westchnął głęboko, sapał, hamując się — wreszcie padł na ziemię jak martwy i, chociaż już spał, łzy wybiegały mu z pod zamkniętych powiek. Odszedłem po cichu, wzruszony rozpaczą tej tęsknoty."

J...z.

Józef Rogosz.

(Wspomnienie pośmiertne).

Dziennikarstwu galicyjskiemu ubył jeden z najgłośniejszych i najbardziej typowych jego przedstawicieli, — Józef Rogosz.

Rogosz wystąpił na arenę literacką bardzo wcześnie, bo jako student szkół średnich, a pisywał wtedy, jak większość dziś już ustępujących z pola literatów galicyjskich, wiersze niezbyt zgodne z tym kierunkiem, który wyznawał pod koniec życia. Wyszły one w r. 1869 pod zbiorowym tytułem »Niby żarty, niby prawdy," a choć dziś już trudno przyznać im jakąkolwiek wartość literacką, na owe czasy cechowała je pewna świeżość myśli, pewna brawura. Poezye swoje wydał Rogosz pod pseudonimem Ajo, znanym już publiczności z licznych korespondencyi, pisywanych w latach 1865—1867 zrazu z Szwajcaryi i Włoch, potem z Francyi, a odznaczających się nietylko ciętością pióra, ale zarazem zdolnością gromadzenia najbardziej charakterystycznych informacyj oraz układania trafnych, jak się kilkakrotnie pokazało, kombinacyi politycznych. Kiedy w r. 1869 Rewakiewicz i Lam, założyli „Dziennik," Rogosz, jeszcze stosunkowo bardzo młody (ur. 1844), objął jego redakcyę.

Równocześnie rzucił się na pole powieści. Z początku nie miał powodzenia. Pierwsze próby ("Wojewodzic 1872, Tak być musiało 1876) miały braki i w kompozycyi artystycznej, i w psychologii i nie budziły większego zainteresowania. Dopiero później, kiedy wziął się do powieści historycznej, zyskał rozgłos nie mały, który jednak tkwił nie tyle w wartości utworu („Marzyciele"), ile w wyborze tematu i w dostrojeniu się do niezbyt wysokiego kamertonu przeciętnych czytelników. To samo mniej więcej da się powiedzieć i o innych powieściach Rogosza, których napisał coś dwadzieścia kilka (nb. tomów o wiele więcej) i stał się wcale poczytnym pisarzem, poczytniejszym od wielu bardziej uwagi godnych.

Jak powstały jego powieści, niech powie następujący przykład. Przed siedmiu czy ośmiu laty, kiedy pisma galicyjskie i warszawskie pełne były odkryć na temat głośnego wówczas procesu Strzeleckich, który dotknął mnóstwo rodzin galicyjskich, Rogosz w lot napisał pod pseudonimem Veraxa powieść p. t. „Grabarze", którego treścią był właśnie ów proces. Gazeta, w której odcinku drukowała się ta powieść, ogłaszała wówczas urbi et orbi (niewiadomo, kto tu więcej winien, Rogosz, czy redaktorowie „Gaz." pp. Vogel i Kostecki,) że „Grabarze" wyszły „prawdopodobnie" zpod pióra zmarłego niedawno przedtem Ottona Hausnera.

W r. 1874 założył i przez lat kilka wydawał pismo literackie p. t. „Tydzień". Tu drukował Rogosz swoje studya estetyczne o Grotgerze i Matejce, znów, jak wszystko, co wyszło z pod jego pióra, niezbyt gruntowne, nieraz nawet wprost fałszywe. Zasługa jego polega na tem, że jeden z pierwszych zabrał się do tego rodzaju studyów i innym drogę pokazał.

W „Tygodniu" również cisnął Rogosz zarzut prof. Kuliczkowskiemu, że jego podręcznik historyi literatury jest plagjatem głośnych wykładów Małeckiego w uniw. lwowskim. Kuliczkowski odpowiedział gruntownym artykułem, w którym zarzut odparł, Rogosz zaapelował do prof. Małeckiego, który głosu nie zabrał, i spór pozostał nierozstrzygnięty.

Redakcyę „Dziennika" opuścił Rogosz w r. 1878 wtedy, kiedy pismo to drogą kupna stało się własnością Adama ks. Sapiehy. Spędziwszy kilka lat na wsi, wyjechał do Ameryki, a po powrocie wstąpił w Krakowie do redakcyi „Kuryera polskiego," na którego czele stał Józef Orłowski, pozostający na żołdzie kilku magnatów (między innemi Woje. Dzieduszyckiego), którzy wytoczyli mu później proces o fałszowanie podpisów na wekslach, przedtem zaś policya ukarała tegoż pana grzywną za bezprawne używanie tytułu doktora. Wówczas Rogosz należał do najgorętszych obrońców tej niesympatycznej osobistości.

W ósmym lat dziesiątku dokonał się w przekonaniach Rogosza przełom: z liberała stał się antysemitą, w stylu luegerowskim; taką markę miał i obiecuje obecnie zachować założony przezeń w Krakowie w r. 1893 „Głos Narodu". Rogosz, jak zapewnia redakcya, oparł wydawnictwo na niezachwianych podstawach materyalnych. Nadto pisywał Rogosz od czasu do czasu korespondencye i artykuły do Biblioteki Warszawskiej, Ateneum i petersburskiego Kraju.

Do zasług Rogosza policzyć trzeba jeszcze wydawnictwa, które różnemi czasy podejmował. Mam tu na myśli założoną w r. 1869 wspólnie z księgarzem Gubrynowiczem „Bibliotekę powieści i romansów", w której wyszło wiele cennych utworów, wspomnę tylko „Pana Grabę" Orzeszkowej lub tłumaczenia Massimo d'Azeglio'a; wydawana ostatniemi czasy podobna biblioteka w Gródku nie czyni zadość skromnym nawet wymaganiom.

Jako dziennikarz niejednolity, łatwo uprzedzający się, nie umiejący przekonań swych oprzeć na podstawach naukowych i, co najgorsza, z dobrą wiarą otaczający się nieraz indywiduami lichej wartości moralnej, umiał mimo to Rogosz zachować niezależność osobistą. Dziennikarz z zamiłowania i temperamentu, odznaczał się wielką pracowitością. Schodzi z nim do grobu typ literata galicyjskiego doby minionej; przyszły historyk naszego piśmiennictwa będzie się musiał zatrzymać na ocenie długoletniej i wszechstronnej działalności zmarłego bez względu na to, jak ona wypadnie.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA

ZA OCEANEM.

Opinia częstokroć trwa dłużej, niż same rzeczy. Raz wygłoszona, utrzymuje się, dzięki rutynie i lenistwu umysłów, potrzeba nieraz znacznego wysiłku, aby ją zmienić. Tego rodzaju opinia zawisła nad literaturą Stanów Zjednoczonych. Utarło się zdanie — powiada Gausseron — że Stany Zjednoczone nie mają literatury własnej, że pisarze tamtejsi są jakby anglikami z za kordonu i że najświetniejsze ich dzieła świecą światłem księżycowem, zapożyczonem od słońca — Anglii. Przytem zwykle wymienia się nazwisko romansopisarza Cooper'a lub poety Longfellow'a.

Należy jednak tę opinię odrzucić. Tylko umysły krótkowidzów mogą sądzić, że naród tak oryginalny, jak yankesi, tak potężny w przemyśle, nauce i sztuce, nie ma własnej literatury. W Ameryce też zabłysły imiona, których nie powstydziłaby się Francya; kraj, co je posiadł, nie może być uważany za grunt jałowy i niezdolny do życia literackiego.

Podobnie jak życie naukowe, ruch literacki nie zcśrodkowuje się w Ameryce w jednem mieście (jak to bywa zazwyczaj w Europie), lecz rozszerza się po całym kraju. San-Francisco, Pittsburg, New-Orlean, Philadelphia, Baltimore, Chicago, Washington, nawet nieznane mieściny w Wisconsin lub Ohio mają swoje przeglądy, swoje książki i swoich autorów, szukających sławy wśród ich mieszkańców. Panuje tam rodzaj decentralizacyi życia literackiego, jakkolwiek New-York i Boston usiłują zająć dominujące miejsce.

Do niedawnych czasów gmach literacki Stanów Zjednoczonych był jeszcze niewielki. Dziś imponuje on swemi rozmiarami i ilością narodowych autorów. Poezya — ów najszczytniejszy wyraz ducha narodowego — liczy w Ameryce godnych siebie przedstawicieli. Oczywiście, niewielu tam jest takich, którzy się jej wyłącznie poświęcili; jak w Europie, tak i tam większość poetów pracuje w dziedzinie dziennikarstwa i nawet przedsięwzięć ekonomicznych. Wśród nich pierwsze miejsce należy się dziś człowiekowi, noszącemu imię Oliver Wendell Holmes, ur. 1809 r. w Cambridge (stan Massachusetts.) Twórca lekkich i przyjem-

nych rymów podnosi się nieraz do wyżyn elegii, przenikającej serca głębią melancholii; często uderza w strunę patryotyzmu i rozpryskuje się w zdrowym a szczerym humorze. Znaną jest w całej unii, jego rzecz, p. t. „The One Hackney“, opisująca dzieje starego kabrjoletu, który się rozbija w stuletnią rocznicę swego istnienia. Ten i parę innych poematów, wydane ozdobnie w Bostonie w r. 1892, mogą zająć nawet europejczyka, przywykłego do wręcz odmiennych utworów. Cieszy się także powodzeniem jego prześliczny poemacik „The Last Leaf“ (Ostatni liść), pełen słodkiego smutku.

Drugi z kolei poeta, James Russel Lowell, nie ograniczając się do utworów lirycznych lub poematów epicznych, jak np. wizye sir Launfal'a o św. Graalu, uprawia krytykę literacką, zbierając artykuły swoje w jednej książce, jak np. „Fireside Travels“ (Podróż przy ognisku), albo też „Among my Books“ (Wśród moich książek). Posiada on żywość i wdzięk, czyniący go sympatycznym dla francuzów, którzy cieszą się też jego względami.

John Burroughs, trzeci wśród plejady poetów, jest twórcą sielanek. Człowiek średniego wzrostu, z opaloną twarzą i wielką brodą, oddaje się on z zapałem ogrodnictwu na brzegach Hudsonu, cztery godziny od New-Yorku. Książki jego opiewają wdzięki natury i życie ptaków z niezwykłą prawdą i wdziękiem; łatwo się przekonać o tem, czytając jego „Winter-Sunshine“ (Zimowe słońce), albo „Fresh Fields“ (Świeże pola.) W krytycznych studyach nie posiada on ani tego wdzięku, ani nawet trafności sądu, co się okazuje zwłaszcza w jego studyum o Wiktorze Hugo, zatytułowanem „A malformed Giant“ (Źle sformowany olbrzym).

Czwartym z rzędu jest Richard Henry Stoddard, poeta, który z początku był odlewaczem czcionek, a potem redaktorem pism. Poezye jego, zwłaszcza liryczne, znane są już od lat 40, gdyż jest trochę młodszy od Longfellow'a; szczególniejszy rozgłos zyskała oda jego na cześć Szekspira, w 300-setną rocznicę tego wielkiego dramaturga (1864 r.) Przytoczymy wreszcie imię Williama Deana Howelsa konsula Stanów w Wenecyi i redaktora wielkiego bostońskiego miesięcznika. „The Atlantic Monthly“. Posiada on znaczny talent poetycki, a cechuje go niezwykła wyrozumiałość dla młodości oraz prostota życia.

Ileż to jeszcze mamy imion do zacytowania! Joachim Miller, poeta dalekiego Zachodu; Celia Thaxter, piewca wielkich ludzi i małych dzieci; Eugeniusz Field, poeta zmierzchu; George Lathrop, zięć sławnego poety Hawthorne'a; Robert Underwood Johnsohn, obrońca własności literackiej; delikatny i marzycielski Ryszard Watson Gilder, redaktor „Century Magazine“, który dawniej był drukarzem i żołnierzem; dalej Charles Godfroy Leland, badacz legend i życia cygańskiego; wreszcie z młodszych — Henry Abbay James Whitcom Riley, Thomas Bailey Aldrich, autor pięknej „Ballady z Nantucket“ i William Winter, umysł subtelny i niespokojny, odznaczający się siłą obrazowania.

W kołach literackich New-Yorku cieszy się powagą Edmund Clarence Stedman, bankier, poeta i krytyk, który stracił majątek na giełdzie. Jego przepiękne studya krytyczne, wydane w osobnej książce, przyniosły mu co najmniej 50,000 fr.

Od poetów przechodzimy do niezliczonej rzeszy pisarzy-prozaików, z których wymienić należy tylko kilku wybitniejszych, żeby nie nużyć czytelnika.

Z pomiędzy nich Cable celuje w opisach z życia kreolów na południu; miss M. Murfree, dzisiejsza pani Craddock, bada życie irlandczyków i niemców w Tennessee; Ivel Harris analizuje murzynów, jakkolwiek moda na nich od czasów „Chaty wuja Tomasza“ już przeszła; miss Wilkins odtwarza obyczaje starych miasteczek nowej Anglii; Harrold Frederick zagląda w tajemnice New-Yorku, współzawodnicząc w tem z Edgardem Fawcettem, który zresztą chętnie opisuje wyższy świat. Edgar E. Saltus zgłębia charaktery kobiece, zbliżając się cokolwiek do Maupassant'a. Edward Eggleston zyskał popularność kilku obszernemi powieściami. Trzeba jeszcze wymienić Read'a, Oktawjusza Thanet'a (jest to pseudonim kobiety), oraz E. W. Howe i miss Foote, mieszkających w San Francisko.

Henry James znany jest we Francyi z przekładów, drukowanych w „Revues des Revues“, i zyskał sobie uznanie w Europie.

Szczególną uwagę zwrócić należy na t. zw. „essayistów“, na czele których stoją Franciszek Bret-Harte i Mark Twain, dobrze znani czytelnikom; oprócz nich zasługują na poznanie F. R. Stockton i popularny w Ameryce Edgard W. Neye; wreszcie dali się poznać: A. Ward, Kate D. Wiggin, G. W. Curtis i E. Bellamy.

Wśród pisarzy w dziedzinie poważnej myśli nie możemy wymienić wielu, gdyż ogromna ich większość pracuje wyłącznie prawie w zakresie kwestyi religijnych i czysto ekonomicznych. Z historyków znani są szerzej: Fr. Parkmann, badacz dziejów Francyi w Ameryce, oraz Ed. Lowell, który pisał o roli wojsk niemieckich w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych, jako też o wielkiej rewolucyi francuzkiej. Justyn Winson jest autorem ogromnej historyi Ameryki w 8 tomach, z mnóstwem map, planów i portretów, John Bigelow i Charles Dudley Warner słyną jako biografowie. Co się tyczy filozofów, to znani przedewszystkiem G. F. Parsons w dziedzinie psychologii i J. F. Clark w dziedzinie badań nad religiami świata; z historyków literatury zasługuje na największą uwagę E. P. Whipple, doskonały znawca dziejów literatury w Anglii i Ameryce.

Bezwątpienia w tej olbrzymiej i potężnej produkcyi literackiej nie wszystko należy całkiem do Ameryki. Wpływy obce były koniecznością, zwłaszcza angielskie; ale w miarę zwiększenia się różnic obyczajowych i cywilizacyjnych pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a ich macierzą, rośnie wciąż różnica w stylu, formie, szczegółach artystycznych i sposobie literackiego oddawania myśli. Dziś już nie powinno ulegać najmniejszej wątpliwości, że literatura amerykańska jest zupełnie odrębną, samoistną i mającą wszelkie dane do coraz wspanialszego rozwoju.

St. Hłasko.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z WYGNANIA.

(Dla informacyi czytelników naszych nadmieniamy, że artykuł poniższy wyszedł z pióra jednego z znanych publicystów, który przez czas dłuższy pracował w Poznaniu, lecz nie mogąc pogodzić się z wykrzywionemi i dusznemi stosunkami miasta naszego, powrócił do Warszawy na dawny teren działalności swojej. Wskazówkę tę uważamy za niezbędną dla zrozumienia pierwszych ustępów załączonej korespondencyi. Przyp. Red.)

I.

Warszawa, 1 sierpnia.

Trudno mi było przywyknąć do waszych stosunków. Onieśmielała mnie „głębokość“ i „powaga“ waszych poglądów na wszelkie, choćby najdrobniejsze sprawy codziennego żywota, upokarzała rozczulająca troskliwość, jaką otaczać zwykliście każdą, choćby najmarniejszą jednostkę, wszelkie jej kroki, czyny a nawet myśli, a wobec tak licznych na waszym bruku wielkości czułem się tak maluczkim, iż przepraszać chciałem za to, że wobec takich powag i ja sobie pozwoliłem istnieć. Opuściwszy więc waszą ziemię obiecaną, płynącą mlekiem miłości bliźniego i miodem wolności i swobody, i przeniósłszy me lary i penety do tej krainy łez i wszelakiego ucisku — odetchnąłem nowem życiem.

Co prawda, bawiąc pomiędzy wami, sercem byłem zawsze w Warszawie. Nie miałem przecież ducha obywatelskiego, nie nęciła mnie wielka polityka, polegająca na wywoływaniu burzy w szklance wody; sądziłem, że polityczny antagonizm nie koniecznie powinien być połączony z osobistą nienawiścią, nie chciałem i nie umiałem wycierać przedpokojów różnych „wielkich ludzi“ aby dobić się urzędu. Byłem wreszcie do tyla naiwnym, że wypowiadałem zdanie, iż szewc powinien pilnować kopyta, a dziennikarz jest od tego, aby przedewszystkiem dbał o swój dziennik i nie podawał czytelnikowi samych śmieci. Z góry przewidzieć było można, że człowiek z tak idyotycznemi i zacofanemi zapatrywaniami do niczego nie dojdzie w waszem „postępowem“ i „rozumnem“ społeczeństwie.

Nie żywię jednak ku wam najmniejszego żalu; owszem uczuciem wdzięczności wzbiera moje serce za to wygnanie. Znany ci jest, redaktorze, mój nieuleczalny optymizm w sprawie kobiet, naturalnie młodych i ładnych. Co prawda pierwszy z dwóch tych epitetów jest zbyteczny, bo kobieta zawsze jest młodą, dopóki jest ładną. Tyle razy sparzony, jak ćma zawsze lecę do ognia, bo w kobiecie upatruję ucieleśnienie tego wszystkiego, co piękne, szlachetne i dobre. Może się zresztą nie mylę tak bardzo. Zakrawać to będzie na parodoks — a jednak tym kultem kobiety tłomaczy się z psychologicznego punktu widzenia gorące moje przywiązanie do Warszawy. Nie darmo obrała sobie Warszawa za godło Syrenę, tj. kobietę, bo któraż kobieta nie jest syreną? Nie ma też chyba na kuli ziemskiej miasta, któraby do tego stopnia, co Warszawa, przypominała kobietę z wszystkiemi jej zaletami i cudami, z całym jej niewysławionym czarem i urokiem, lecz jednocześnie także z wszelkiemi jej kaprysami i zgubnemi niekiedy skłonnościami.

Nie ma też drugiego miasta, w któremby żywioł kobiecy tak górującą nie tylko w życiu domowem ale i publicznem odgrywał rolę. Nie świadczy to zbyt pochlebnie o brzydszej, lecz uchodzącej, zupełnie zresztą niesłusznie, za silniejszą połowie tutejszego rodzaju ludzkiego; lecz jest to fakt, z którym pogodzić się trzeba, a pogodzić się tem łatwiej, że jarzmo to nakładają na nasze karki piękne, biorąc na ogół, rączki, piękniejsze w każdym razie niż w innych środowiskach ludzkości, z wyjątkiem chyba jednego.... Poznania. Lecz żart na stronę, przewaga ta kobiet w Królestwie Polskiem w ogóle, a w Warszawie w szczególności, stanowi ważny bardzo objaw społeczny, zasługujący na głębsze zastanowienie. Objaw ten trudno uważać za pomyślny. Jak bowiem jednostka, wychowywana przez kobiety nie nabierze energii i hartu, potrzebnego do walki z życiem, tak i społeczeństwo, w którem rej wodzą kobiety, wykazywać będzie cechy pewnej zniewieściałości i braku nale-

żytej siły oporu przeciwko wszelkiego rodzaju przeciwnościom. Z drugiej jednak strony kobieta, wywierająca wpływ przeważny na swe otoczenie krzewi w niem zapał i wiarę w ideały, i chroni je przed zwątpieniem i beznadziejnym pesymizmem, stanowiącym cechę charakterystyczną wszystkich prawie dzisiajszych cywilizowanych społeczeństw. Jeźli też w społeczeństwie naszem, mniej niż w któremkolwiek innem, zaznacza się apatya i wyziębienie. jeźli serca biją goręcej i szybciej się zapalają do każdej myśli szlachetnej i wzniosłej, jeźli wreszcie miłość ojczyzny silniejszem bije tętnem — to zasługa tego pocieszającego, zwłaszcza w dzisiejszych czasach faktu należy się przedewszystkiem naszym kobietom.

Zapewne, że nadmiar ten zapału prowadzi nas niekiedy na manowce, popycha do czynów nie zgadzających się z wymaganiami chłodnego rozumu. wolę jednak zwłaszcza w młodszej generacyi ten nadmiar fantazyi, niż brak jej nieledwie zupełny, ów sceptycyzm i wyłączne gonienie za chlebem, ogarniające coraz bardziej dzisiejszą młodzież w dwóch innych naszych dzielnicach. Młodzież ta wydać może przyzwoitych bardzo ludzi, dobrych adwokatów, lekarzy, kupców lub przemysłowców, nie wytworzy jednak obywateli, zdolnych do największych nawet poświęceń dla dobra ogółu.

I pomiędzy naszą młodzieżą szerzyć się zaczyna w ostatnich czasach coraz bardziej ten duch egoizmu i zimnego, lekceważącego wszelkie idealne cele wyrachowania, bądź co bądź jednak ogromna większość tej młodzieży, i to z wszystkich bez wyjątku warstw tutejszego społeczeństwa, nie zrzekła się jeszcze pogoni za ideałami i wiary w przyszłość. W sercach jej pali się jeszcze ten święty ogień młodzieńczy, który zdaje się wygasa coraz więcej u przedwcześnie dojrzałej waszej młodszej generacyi.

Oczywiście, że mówiąc o przewadze kobiety, miałem na myśli kobiety z miarodajnych warstw naszego społeczeństwa. Rozumie się samo przez się, że obok kobiet nadających ton w prywatnem i publicznem życiu, o ile ono przejawiać się może w naszych warunkach, — kobiet rządzących w buduarach, salonach i pośrednio lub bezpośrednio w rozmaitych instytucyach tutejszych, istnieć musi w mieście tak wielkiem jak Warszawa, w mieście dalej, w ktorem kobiety liczebnie tak bardzo przewyższają mężczyzn, znaczny bardzo zastęp kobiet nie żywiących aspiracyi do jakiegokolwiek panowania, a toczących rozpaczliwą walkę o byt codzienny. Jak wszędzie tak i u nas wytwarzająca się kwestya kobieca, nie będzie ostatecznie niczem innem tylko kwestyą chleba. Wprawdzie w Warszawie zawierają się łatwiej niż gdziekolwiek indziej legalne i nielegalne związki małżeńskie. Młodzież tutejsza, odznaczająca się przy innych zaletach także sporą dozą lekkomyślności, nie oblicza tak skrupulatnie jak w innych stolicach Polski posagu panien na wydaniu, a w danym razie nie tak bardzo się obawia obrażenia światowych konwenansów. Pomimo to jednak liczba kobiet, nie mających widoków do założenia sobie własnego ogniska domowego i zmuszonych o własnych siłach przebijać się przez życie, i u nas jest olbrzymia i wytwarza coraz groźniejsze współzawodnictwo mężczyznom na tak już dość przepełnionym rynku pracy.

Nadmierna ta podaż rąk do pracy wywołuje z samej natury rzeczy wyzysk. Wyzysk zaś jest tem groźniejszy, jeśli się zważy, jaką rolę odgrywa w naszem życiu ekonomicznem żywioł semicki, żyjący wyłącznie z pracujących warstw ludności. Skargi też na straszliwy wyzysk mianowicie pracownic igły, pobierających za 14 a niekiedy 16 godzinną pracę wynagrodzenie 20 do 30 kopiejek dziennie, stanowią stałą rubrykę wszystkich tutejszych organów prasy. Nieludzkiemu temu wyzyskowi zapobiedz by mogła jako tako skutecznie możliwie ścisła organizacya samych pracownic, o takiej jednak organizacyi w naszych stosunkach politycznych nie może być mowy. Na razie więc zadowolić się trzeba doryweczemi środkami, w rodzaju zakładania chrześciańskich magazynów, wyszukiwania i zapewniania pracownicom korzystniejszej pracy itd. Przyznać też trzeba, że na tem polu prywatna inicyatywa działa u nas dość wiele, chociaż naturalnie nie jest ona wstanie usunąć najbardziej nawet krzyczących nadużyć.

Biorąc na ogół kobiety nasze, mianowicie należące do inteligentniejszych warstw społeczeństwa, cechuje znaczny zasób energii i duch inicyatywy. Nie ulega wątpliwości, że energia ta i przedsiębiorczość ujawnia się dość często w niewłaściwych, a nawet wprost szkodliwych kierunkach; w największej jednak liczbie wypadków wydaje korzystne owoce. Gdy np. u was panna z tak zw. dobrego domu nie mając widoków wyjścia za mąż, kształci się bez wyjątku prawie na nauczycielkę, czyli do najniewdzięczniejszego, najprzykrzejszego i w naszych warunkach społecznych najbardziej upakarzającego zawodu, u nas pod tym względem przeważać zaczyna coraz bardziej kierunek praktyczny: panny z najlepszych rodzin kształcą się na buchalterki, ogrodniczki, pszczelarki a nawet — *horribile dictu* — na akuszerki.

X.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne istytucye

dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

I.

WSTĘP.

Rozpatrując system kształcenia ludowego na kontynencie Europejskim, zostajemy przedewszystkiem uderzeni tym faktem, że uwzględniono w nim wyłącznie i jedynie kształcenie małoletnich. Wychowanie ludowe obejmuje zwykle wiek ludzki tylko od jakiego 7 lub 8-go roku do lat 14 najwyżej. Dalej człowiek zostaje pozostawionym samemu sobie i jeżeli los nie sprzyja mu szczególnie, zupełnie odciętym od dalszego kulturnego rozwoju. W czasie szkolnym dziecko ludu było podniesionem z niższej kultury swej klasy do kultury wyższej — potem zaś wraca znowu napowrót do form i sposobu myślenia swego niższego kulturnego życia. Szkoła dawała mu wiedzę za pomocą metod. wypracowanych przez umysły, wysoko stojące w duchowym rozwoju: uczono go myśleć ściśle. ekonomicznie, przystosowywać środki do celu, podporządkowywać pojęcia jedne drugim; — dalej dano mu metody zdobywania wiedzy, jakiemi są: czytanie, pisanie, mówienie gramatyczne i niekiedy odrobinę samejże wiedzy, jak geografię i artymetykę. Na tem przerywa się wszystko. Wchodząc do życia, człowiek ma do czynienia zwykle jedynie z temi pierwotnemi formami kultury, z których szkoła starała się go wyprowadzić.

Formy tego życia nie dają zaś prawie nigdy ludowi pola do zastosowania wiedzy takiej, jaka mu była podaną w szkole. Zwykłe bowiem funkcye życiowe jak np. praca koło roli, nie wymaga wcale ani ścisłego myślenia, ani gramatycznego wysławiania się. Pozostawiony sam sobie, wraca wieśniak z konieczności do poglądów i obyczajów tej klasy do której należał. Każdy, kto zna warunki bytu ludu w naszej ojczyźnie, wie, jak wielu ludzi nawet z wykształceniem średniem pochłania grube otoczenie, które po kilku latach zaciera kompletnie ślady zdobytej nauki. W ten to sposób nawet te korzyści, które przynoszą nasze nieliczne szkoły, zostają zneutralizowane.

I nie może być inaczej. Cztery albo sześć lat szkoły wobec wpływów całego życia jest bardzo mało. Przytem nauka przerywa się w tym wieku, kiedy umysł zaczyna zaledwie funkcyonować z właściwą sobie siłą. Doświadczenie pedagogiczne coraz bardziej przekonywa, że stosunkowo korzyść z nauki jest największa w wieku dojrzałym, naturalnie z wyłączeniem wypadków degeneracyi. Mimo to społeczną koniecznością jest, ażeby naukę pobierano w wieku dziecinnym, ponieważ tylko w tym czasie człowiek nie jest zmuszonym do pracy na chleb i może cały swój czas poświęcić własnemu kształceniu.

Z drugiej znów strony również konieczną jest rzeczą, ażeby nauczano metod zdobywania wiedzy, jak to obecnie czyni szkoła ludowa i ażeby dano człowiekowi tę bezpośrednią korzyść, jaką przynosi tak zwane „elementarne“ wykształcenie. Szkołę zatem, jeżeli można zmienić, to tylko w bardzo niewielkim zakresie.

Jak więc zaradzić złemu? Kwestyę tę rozstrzygnięto z dobrym praktycznym skutkiem w Arglii i Ameryce już około 20 lat temu. Utwierdziło się tam bowiem powszechne mniemanie, że na szkole ludowej nie powinno się kończyć wykształcenie człowieka z ludu, ale że społeczeństwo obowiązane jest dać mu do niej supplementa.

Istotnie, takie supplementa posiadają klasy wyższe we wszystkich krajach. Porównując wykształcenie w różnych sferach widzimy, że w klasaah wyższych praca nad rozwojem umysłowym jednostki nigdy nie kończy się na szkole, ale kształcenie się jej trwa dalej w mniej lub więcej silnym stopniu. Tyle srodków ku temu nastręcza dziś życie człowiekowi inteligentnemu! Ma on uniwersytety, wystawy, kongresy, biblioteki, pisma, teatra, koncerty, zresztą obcowanie z inteligentniejszemi od siebie jednostkami, politykę, podróże etc. etc. Im inteligentniejszem jest dane individuum, tem bardziej kształcenie się duchowe przechodzi w normalną funkcyę jego istnienia. Wnosi on owoce swego inteligentnego rozwoju w życie, które przez to staje się intenzywniejszém i szerszem, pogłębia się i wzbogaca.

Otóż chodzi o to, ażeby kształcenie się ciągłe, jako stała funkcya życiowa, było własnością klas wszystkich, objęło cały naród! Nauka i sztuka powinny stać się strawą codzienną, wejść w życie ludu w ten sposób, jak to czyni religia. Muszą one wpleść się w każdy okres życiowy i prowadzić człowieka od dziecińsťwa aż do grobu.

Potrzeby intelektualne muszą być z równą koniecznością zadawalane, jak potrzeby życia fizycznego. Człowiek nabiera tych potrzeb niezmiernie szybko i zwykle z wielką boleścią traci warunki sprzyjające ich zaspokojeniu. Nawet takie w porównaniu z życiem naszego ludu niewielkie straty w zakresie życia kulturnego lub umysłowego,

jak np. przeniesienie się ze stolicy krajowej do prowincyonalnego miasta, albo wyjście z uniwersytetu, są nieraz dla naszej klasy inteligentnej źródłem cierpień długoletnich. Otóż ta sama tęsknota za wyższem życiem kulturnem istnieje i wśród ludu, oczywiście dopiero w zarodku. Mamy jednak przed oczyma ciągłe przykłady niesłychanie szybkiego rozrostu potrzeb duchowych w warstwach ludowych, o czem np. świadczy wymownie emigracya polska w Ameryce. To też musimy liczyć się z temi potrzebami, tem bardziej, że otwierają nam one w przyszłości niezmiernie szerokie drogi.

Rozszerzenie kultury na klasy niższe narzuca się nam obecnie z siłą konieczności. Wskutek odmiennych bowiem warunków duchowego życia rozwój kultury idzie dziś zupełnie innym krokiem w klasach niższych i wyższych. Tam, gdzie funkcya kształcenia się jest sporadyczną, i tam gdzie ona jest ciągłą, nie może być mowy o zachowaniu tej samej proporcyi w rozwoju. Ztąd też coraz więcej wzrasta ten przedział pomiędzy klasami, na który słychać dziś skargi. Coraz trudniejszem staje się oddziaływanie na siebie różnych klas i porozumienie się między niemi. Stosunek ten okaże się tem groźniejszym, jeżeli uwzględnimy, że w innych narodach przeciwieństwa coraz bardziej się zacierają. Tak n. p. tendencyą wszystkich niemal dodatniejszych osobników angielskiego i amerykańskiego społeczeństwa jest zatarcie różnic klasowych. Naturalnie dzieje się to — nie przez poniżenie poziomu klas wyższych, lecz przez podniesienie niższych sfer społecznych. Podczas zatem, gdy w tych narodach powołane będą do świadomego życia niezliczone zastępy ludu, u nas kultura ograniczy się do małych kółek towarzyskich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wolne Głosy.

Z poważnego źródła otrzymujemy artykuł następujący:

Frymark ziemią polską.

Kiedy przed dziesięciu laty kuto w Berlinie ustawę stumilionowego funduszu, nikt nie przypuszczał u nas, ażeby komisya kolonizacyjna mogła na ziemi wielkopolskiej zapuścić swe korzenie. Opinia publiczna jednomyślnie frontem przeciw niej stanęła, a stara gwardya obywatelska gotowa była przysięgać na armatę, że między posiedzicielami Polakami nie znajdzie się nikt tak podły, którvby sprzedał ziemię ojczystą na wieczne zatracenie. Ale jakże strasznie się zawiedziono!

Nastała chwilowa złowróżbna cisza, poprzedzająca przerażające rozczarowanie. Zakradające się zepsucie do dusz nizkich popędów zaczęło toczyć nieskazitelność cnoty obywatelskiej i poświęcenie a podsycać indyferentyzm narodowy i egoistyczną prywatę. Zadrżały cienie Zofii Chrzanowskiej, bohaterki Trębowli, gdy ujrzały, jak pierwsza otworzyła bramy swej włości komisyi kolonizacyjnej — niewiasta! dzisiejsza „matrona polska". Jakże bolesne, okrutnie dojmujące igrzysko prześladującego nas losu! Jakby na dane hasło zaczęły na wyścigi wieś po wsi dążyć do biura komisyi kolonizacyjnej, i rzucać się na pożarcie w gardziel nienasyconego jej Molocha za wory złota, napiętnowane hańbą.

Wstrzęsły się groby, poruszyły prochy przodków, których potomkowie ziemię krwią i znojem ich przesiąkłą, a od dziesięciu przeszło wieków przez ducha obywatelskiego strzeżoną, — dla dogodzenia żądzy używania zaprzedali nieprzejednanemu wrogowi wraz z honorem osobistym i tradycyami rodu. To haniebne opuszczenie tak drogich, świętych, rzec można, dla sprawy narodowej posterunków i wydanie ich na budowanie twierdz, mających swą osadą kraj germanizować, wzburzyło serca, wstrząsło umysły, wywołało lament powszechny i przekleństwo na sprawców tego tak zabójczego w skutkach przeniewierstwa. A biedny lud polski wyparty z siedzib przez żywioł obcy przy współudziale panów, opuszcza je w ponurem milczeniu, — popada w zwątpienie, obojętnieje dla sprawy narodowej, przestaje wierzyć w to, co mu o Ojczyźnie prawią, lub o niej piszą, jeżeli widzi, jak panowie tę „macierz karmicielkę" po kawałku od całego ciała odrywają i wrogom sprzedają, często nie z konieczności, lecz dla wygody i gwoli pędzenia życia wśród przyjemności bez kłopotów i pracy.

Znali już starożytni potęgę ziemi i siłę przywiązaną do niej, a mytologia grecka uosobiła ją w olbrzymie Anteuszu synie Gei, który tak długo jak miał czucie z swą matką ziemią i opierał się na jej łonie, był niezwyciężony. Zmiarkował to Herkules, który z nim walki staczał bez nadziei zwycięstwa; uniósł go więc pewnego razu od ziemi, potrzymał w powietrzu, a gdy uczuł, że słabnąć zaczyna, zgniótł go i rzucił dzikim bestyom na pożarcie. Znaczenie myśli ukrytej w tym fantastycznym mycie zdumiewa i budzi poszanę dla mądrości Greków, którzy już przed tysiącami lat głęboko wnikali w tajniki egzystencyi człowieka, a warunki jej pojmowali jaśniej i zdrowiej, niż dzisiajsi polskoprusący kolonizatorowie. Sens moralny tego mytu, zastosowany do obecnego naszego stanu, leży jak na dłoni. Olbrzym Anteusz to naród polski, jako rolniczy, opierający swój byt na ziemi. Herkules tegoczesny, jest Bismarck, który gdy daremnie przez długie lata z Polakami wojował, ducha ich nie złamał i żadnym podbojem na polu germanizacyi pochlubić się nie mógł, — przyszedł ostatecznie do przekonania, że nie będzie miejsca dla niemieckiego żywiołu w polskim zabranym kraju dopóty, dopóki ziemia będzie w ręku posiedzicieli Polaków. Uwziął się zatem, nie przebierając w środkach, za jakąbądź cenę nabyć polską ziemię. I oto przeprowadził komisyę kolonizacyjną z stumilionowym funduszem, którego siłą atrakcyjną wystawione na handel ziemie zabiera, a sprzedawczyków handlarzy w powietrzu zawiesza — i politycznie uśmierca.

Ale czy ci nieszczęśnicy czują rzeczywiście zadaną im śmierć polityczną? — wątpić należy. Pomimo całej ohydy czynu, której czy nie rozumieją, czy rozumieć nie chcą, nadrabiają rezonem jakby nie popełnili godnego potępienia czynu. — stworzyli sobie światek mały, z podobnych i równych sobie osobników, w nim się obracają, w nim żyją i grą w karty etc. sumienie swe zagłuszają.

Są między nimi indywidua, które mają pretensyę utrzymania się na utraconych stanowiskach do ziemi przywiązanych. pchają się na zebrania rolnicze, jakby nie wiedzieli o tem, że tam nie masz miejsca dla kolonizatorów, śmią nawet, nadużywając delikatności przewodniczącego głos zabierać, jakoby z tytułu byłego obywatelstwa, — które samowolnie za „miskę soczewicy" utracili. Inni znowu w myśli rehabilitacyi narzucają się z rozmaitemi niepraktycznemi projektami, aby się nazywało, że chcą pracować, a zapominają o tem, że sprawa publiczna nie jest ścierką do zacierania piętna, które sami na sobie wycisnęli. Są i tacy, którzy dla poprawienia reputacyi, zgłosili się na członków Tow. P. Nauk i — co powiecie na to — zostali przyjęci. Wstrzymuję się od uwag, same one bowiem czytelnikom się nasuną.

Handel ziemią wydał nieznaną u nas a wstrętną ablegrę, a tą jest kuplerstwo i to w stanie obywatelskim, które zajmuje się ułatwianiem interesów między komisyą kolonizacyjną a młodymi, niedoświadczonymi utracyuszami. Jest to nowa plaga, a zdarza się niestety, że nasze ziemiaństwo takiego kusiciela z piekieł wysłanego, zaszczyca na zebraniach wyborem przewodniczącego, lub wysyła jako delegata do zarządu głównego. Jeżeli tacy ludzie mają być wyrazem danej korporacyi, to wybaczcie, należący do niej panowie, jeźli kto powie: Cóż dopiero ta reszta musi być warta? Wasza wina, że do wyborów przystępujecie nie dosyć poważnie usposobieni, że stosunki osobiste stawiacie przed publicznemi i że prywata bierze górę nad cnotą. Albo drugi podobny przypadek: Znany utracyusz, sprzedawszy dwie wsie komisyi kolonizacyjnej, przeniósł się do innego powiatu, w którym objął majątek po ojcu. Przychodzą wybory powiatowe, na których jako kandydat wstępuje w szranki z postawionym przez powiatowców obywatelem, znanym z obowiązkowości i zdolniejszym od niego. Intryga zwyciężyła, kolonizatora wybrano deputatem. To fatalne zwycięstwo fałszu nad prawdą, jakże smutnie świadczy o poziomie moralności i pojmowaniu godności obywatelskiej tych, co mu sekundowali. Co za straszny upadek i to tak nagły i niespodziewany! A pisma nasze, mające reprezentować opinię, co na to? Ni ciepłe ni letnie, prześlizgują się po tak drażliwych faktach ostrożnie, aby się nie zarwać i nie zamazać swej powagi. „Dziennik Poznański" przed laty kilku przynajmniej stereotypowem „Ojczyzna się kurczy" odzywał się do sumień kolonizatorów, w ostatnim czasie poprzestaje na zwyczajnem zaregestrowaniu przefrymarczonej ziemi. „Kuryer Poznański" zdala i ostrożnie dotyka spraw kolonizatorskich, z obawy, ażeby stawianiem przeszkód komisyi kolonizacyjnej, działającej w myśl ustawy uchwalonej prawem, nie wprowadził „polityki ugodowej" w kolizyę z sferą rządową. Pisma niezależne, chociaż bez ogródki, jak „Goniec Wielkopolski", całą ohydę tego występnego frymarku przedstawiają, to nie wywierają należytego wpływu z tej prostej przyczyny, że w kołach kolonizatorskich ich nie czytają. I tak powoli bez impulsu z góry, — kiedy indeks narodowy stanął i nie porusza się, by wskazać straszną grozę czynu i niebezpieczeństwo chwili, zaczynają się ludziska oswajać z sprzedażą na kolonizacyę, — jej adepci zadzierają głowy coraz wyżej, sytuacya społeczna zaczyna się zabagniać, złe wyziewy zutruwają zdrowe instynkty narodowe. Czas wielki zaprowadzić desinfekcyę moralną, ażeby kolonizacya nie odniosła tryumfu, którym okryłby naród nasz hańbą. Ale nie traćmy przedwcześnie ducha. Jeszcze cnota obywatelska żyje w narodzie, tradycye przodków jak wiara, prawość i ofiarność nie wygasły, a miłości Ojczyzny nie ululali jeszcze ugodowcy. Ojczyzna nie pragnie, byśmy krew przelewali na jej ołtarzu, tylko żąda byśmy złożyli na nim jako ofiarę dla niej złe żądze i namiętności, jak hazard, marnotrawstwo, lenistwo, pychę, obłudę i inne błędy, któremi pewne części naszego społeczeństwa tak na wsiach jak po miastach roz[illegible]czone, budzą obawę o utrzymanie ich żywota i bytu. Widać, że jest wiele niezdrowia. gdyby bowiem społeczność nasza ziemiańska była choć tylko tak zdrowa, jak przed laty 20-tu, to kolonizacya nie byłaby na polskiej ziemi zapuściła swych zagonów. Ażeby zdrowe jeszcze części uchronić od zepsucia, nieodzownem jest zaprowadzenie segregacyi, któraby zapobiegła szerzenia się zarazy.

tem przy sposobności na innem miejscu, teraz wracam do sprzedaży czy handlu iedną naszą ziemią ojczystą.

By nie wyrządzić nikomu krzywdy, naazuje sprawiedliwość podzielić sprzedająych na kolonizacyę ziemię na dwie kateorye. Do pierwszej należą posiedziciele rześladowani niepowodzeniami, o jakie w gopodarstwie nie trudno, lub zrujnowani udzieniem kredytu ludziom nierzetelnym, bliz- bankructwa, których ziemie jeżeli nie wolnej reki. to na subhaście po niższej enie nabyłaby kolonizacya. Takim ofiarom osu przysługują łagodzące okoliczności. Do rugiej zapisać należy tych, co przez marotrawstwo, nierząd, grę na giełdzie lub azard w karty podrujnowali swe majątki, ako też i tych, co nie z potrzeby lecz spekulacyi sprzedali swe ziemie.*) Do ostaich należą także potomkowie obywateli iejskich, którzy uczciwą pracą dorobiwszy ę kapitałów ulokowali je na zakupionych siach. Dzisiejsza generacya zepsuta wygoami, których ojcowie nie znali, zleniwiała ez patryotycznego poczucia, zbrzydziła soziemię, która wymagała zachodów i pra-, sprzedała ją na kolonizacyę i z kapitam znacznym. przechodzącym połowę warści wsi, przeniosła się do miasta. Dla tej ategoryi szkoda słów, — osądzi ją sam Bóg.

Próbowała komisya kolonizacyjna nabyać zagrody od włościan, lecz z tymi tru niesza była sprawa, — wrota sadyb wawnie były zaparte a złote klucze nie zdody ich otworzyć z taką łatwością, jak bram łaców i dworów, bo strzegł ich i strzeże eniusz narodowy i wiara, wrodzone przyiązanie do ziemi, do kościółka na pagórku toczonego staremi lipami, do grobów ojców cmentarzu. Ci synowie młodsi, którzy ajmniej doznawali dobrodziejstw i czułości swej macierzy, okazują jej najwięcej iłości a najmniej sprawiają jej bólu, te oni mają odziedziczyć w spuściznie przyłość, — kiedy synowie starsi, jedni koleją asy już zgrzybiali, drudzy gnuśnością zniecołężniali, sami z dziedzictwa sztandaru idei arodowej się wyzuwają.

Nie dosyć jest wykazać krzywdy i stra-, jakie wyrządził sprawie narodowej fryark ziemią ojczystą; ważniejszą i pożyteniejszą jest zastanowić się nad szukaniem osobów, gwoli naprawienia straszliwie szkodzonej i po części pozbawionej załogi awy naszej narodowej. Pukajcie a będzie am otworzone, szukajcie a znajdziecie, — oi w piśmie. I oto nie daleko szukając nalazł się sposób. Oczywiście sprzeda- ziemi nie masz sposobu odzyskania chwiwo! Ale natomiast to jest rzeczą pewną, ziemi dosyć jest jeszcze do zbycia, gdy- tylko nabywcy się znaleźli. Co tych doczy, to mamy ich pod ręką w osobach konizatorów posiadających gotowe kapitały, óre za sprzedaż ziemi ojczystej wzięte, usznie też na zakupno tejże ziemi jako ależący jej się ekwiwalent użyte być winny. ilku z tych, co sprzedali ziemię ojczystą misyi kolonizacyjnej, nabyli inne posiadło-, jedni od niemców drudzy od polaków. ieszno im nawet było, jak jeden z nich owiadał, zostać powrotnie obywatelami emskimi. by się pozbyć tej wstrętnej na- „kolonizatora,“ z którą niezrehabilitowszy się, trzeba było żyć, z nią umierać z nią być pochowanym.

Jeżeli obowiązki względem ojczyzny narodach używających bytu politycznego wielkie, to o wiele większe i trudniejsze w narodach tegoż bytu pozbawionych. kże wielką musi być potęga miłości ojyzny w narodzie przez szczep obcy ujamionym, aby nie upaść w twardym ucisku i nie zniknczemnieć. Na jak ciężkie próby jest wystawiony jego patryotyzm! A wśród nich ma zachować w całości organizm narodowy, moralny, fizyczny i terytorialny, aby gdy głos z góry padnie, — już czas! miał siłę powstać czysty i nieskażony. Ażeby udźwignąć ten dziejowy, ciężki krzyż, trzeba potężnej, iście chrześciańskiej siły ducha, któraby podtrzymywała, na tej ciernistej posłannictwa drodze.

Czy atoli frymarczący ziemią polską są zdolni podnieść się do wyżyn abnegacyi, która posłannictwu idei narodowej daje namaszczenie i siłę do pokonania stojących w drodze przeszkód?

Jeżeli zważymy, że kolonizatorowie rekrutują się po większej części z indiwiduów spaczonego wychowania pod względem moralnym i narodowym, którym już jako dzieciom dawano do zabawy karty, czem zaostrzano zabójczy później dla nich instynkt hazardu, których zmysł używania rychło rozwinięto, którzy nie słyszeli w domu rodzicielskim polskiej powiastki ani pieśni, a wyraz ojczyzna nigdy o ich uszy się nie odbił. — natomiast guwernantki francuskie i nauczyciele niemcy ułatwiali wstęp duchowi obcemu do słabych, wrażliwych, młodocianych jestestw. — co dorosłszy nie szukali towarzystw poważnych, zajmujących się sprawami społecznemi, co objąwszy majątki znali tylko przysługujące im prawa, lecz obce im były przywiązane do nich obowiązki: to gdy zmierzymy tę szeroką przestrzeń dzielącą ich od tego wzniosłego posłannictwa, zwątpić musimy o jakiem w przyszłości doń zbliżeniu.

Dzieją się jednak niepojęte zmiany i konający duch narodowy budzi się nieraz pod biczem wroga, wśród dzikszych z dniem każdym pieśni zagłady.

Nie wolno nam jako chrześcianom rzucać na nikogo kamieniem potępienia, to też dalecy jesteśmy od tego, a wytykając błędy i czyny niegodne, mamy na oku poprawę i przywrócenie społeczeństwu zbłąkanych jednostek.

W końcu, — ażeby ten bolesny traktat o „Frymarku ziemią polską“ nie zaginał bez śladu i echa, lecz przyniósł pożądany rezultat, radzimy tym, — jak to już wyżej powiedziano — którzy wstrętnego handlu się dopuścili, iżby dla zrehabilitowania własnego honoru, zaspokojenia swego narodowego sumienia i zagojenia zadanych ojczyźnie ran, za kapitały wyniesione z sprzedaży na kolonizacyę niemiecką zakupili, czy od swoich czy też od obcych, na targ wystawione ziemie.

Tylko po restytucyi krzywdy grzech może być odpuszczony, a więc nie tracąc czasu, zechciejcie zabierać się panowie do zakupna ziemi. do pracy około zachowania gleby, tej podstawy naszego bytu: jest to *conditio sine qua non* będziecie mogli z sumiennymi pracownikami na polu narodowem i ekonomicznem używać wspólnie poważania i praw obywatelskich.

Molo.

*) Przypominamy tu tylko dwa nazwiska, okryte niesławą w najświeższym czasie: Henryk Dzierzykraj Morawski i Nepomucen Chełkowski.

TO I OWO.

Przyczynek do charakterystyki prasy w Królestwie Polskiem i państwie rosyjskiem.

W „Prawdzie“ warszawskiej czytamy:

Już raz zaznaczyliśmy to nadużywanie cierpliwości i kieszeni ogółu czytelników pism codziennych — raczenie ich wielką obfitością depesz pustych, błahych, donoszących np., że w jakimś zakątku nieznanym nikomu ktoś wziął udział w teatrze amatorskim lub zwyciężył w wyścigu na rowerze, albo, że w jakiejś wiosce urodziło się cielę z dwoma ogonami. Czytelnik mając przed sobą tę moc bibuły zadrukowanej jest w położeniu wilka z bajki, który zobaczywszy prosię na dnie strugi, usiłował wszystką wodę wypić, ażeby tę pożyteczną dla siebie zdobycz dostać. Czytelnicy piją bezustannie ową wodę zabagnioną niedorzecznościami, wiadomościami zakrawającemi na kpiny z ogółu. Zdobyczy — treści pożytecznej, znaleźć jednak nie mogą i jeżeli nie wyczerpie się ich cierpliwość, ulegną smutnemu losowi wilka, który zanadto opił się wody. Okolicznością łagodzącą, chociaż nie zupełnie, dla prasy codziennej jest — wspólnik wyzysku, napiętnowany całkiem słusznie przez organ kijowski. (Zizń i Iskustwo.)

Działalność „Rosyjskiej Agencyi Telegraficznej“ — pisze wymieniony dziennik — wywołuje ogólne niezadowolenie, które potęguje się z dniem każdym dzięki systematycznemu lekceważeniu zaciągniętych zobowiązań. Brak sensu i treści w telegramach, dostarczanych gazetom prowincyonalnym, przekracza doprawdy wszelkie granice. Pomijamy już to, że depesze przychodzą późno, że są redagowane tak sobie, bez żadnej myśli przewodniej i że nikt nie zadaje sobie trudu, aby rozgatunkować krytycznie materyał telegraficzny. Kiedy ukaże się gdzieś wędrowna pogromczyni zwierząt, agencya obwieszcza natychmiast urbi et orbi ważny ten fakt; dość, aby gdzieś przeszedł deszcz wązkim pasem, a depesze agencyjne biegną znów na wszystkie strony świata. O tem wszystkiem, co się dzieje na kuli ziemskiej i co w każdym razie jest stokroć ważniejsze, niż rekordy cyklistów, a nawet wędrowna sztukmistrzyni, dowiadują się gazety prowincyonalne z innych źródeł. Zdarzają się wreszcie i takie wypadki, że telegram agencyjny przynosi nam wiadomość, którą w tymże dniu lub poprzednim znajdujemy w otrzymanych pocztą pismach petersburskich. Ani sposób zresztą wymienić tu wszystkiego. Powtarzamy to tylko, że agencya depeszami swemi, pozbawionemi zupełnie treści, stawia gazety prowincyonalne wprost w położeniu bez wyjścia. Rozumiejąc swe obowiązki względem czytelników, pragnęłyby one zawiadomić ich o wszystkiem, co się dzieje w sferze politycznej, ekonomicznej, finansowej, naukowej, literackiej i co interesuje najżywiej czytelników; tymczasem agencya o niczem literalnie wiedzieć nie chce i rozsyła niedorzeczne depesze, podkopujące tylko powagę słowa drukowanego.“

Dalej gazeta ujawnia zdzierstwo tego przedsiębiortwa, oblicza jego czysty dochód na 600% i proponuje organizacyę nowej agentury konkurencyjnej, ktora odpowiadałaby celowi i spełniała uczciwie swoje zadanie. Organ kijowski radzi kwestyę tę rozstrzygnąć na zjeździe przemysłowym niższonowogrodzkim w specyalnej sekcyi wydawniczej.

NA WYŁOMIE.

(Panegiryk pana Koryzny).

Publikując przed dwoma tygodniami interwiew mój z nowym dyrektorem teatru poznańskiego i poglądy moje na dotychczasowe prowadzenie sceny, nie wątpiłem wprawdzie ani jednej chwili, że obrażam ambicye dawnych ministrów teatralnych i drażnię lubowników wszelkiego rodzaju maskarad społecznych, nie przypuszczałem jednak. mimo ciekawych w tym kierunku doświadczeń, że znajdzie się człowiek dość zuchwały i pi-

smo dość śmiałe, by stanąć na rynkach i uderzywszy w bęben reklamy, tak mówić do ludu:

„Najmilsi! powiedziano wam, że teatr poznański to zbiedzony kaleka, że nędzy jego i chorobie winien jest dawny dyrektor, lecz ja dwa palce w górę podnoszę i przysięgam: Teatr nasz to bogacz opływający w skarby Krezusowe, to ideał wszystkich teatrów, a ten, kto przez ostatnie lat dziesięć tam rządził, to wzór dyrektorów.

Zdawałoby się w obec notaryczne stwierdzonej, materyalnej i moralnej ruiny teatru poznańskiego, że podobnego panegiryku nikt chyba ogłosić się nie odważy. Można było starać się upiększyć jakiś garb, jakieś szklane oczko naszego „kaleki“, — można było w imię zasady „*de mortuis nil nisi bene*“ uniewinnić to lub owo z niedomagań artystycznych śp. Franciszka Dobrowolskiego, lecz wmawiać w ludzi, że kawał spruchniałej belki jest wspaniałym dębem, kawał cegły pospolitej rubinem lśniącym, to zaiste zakrawa już na dowcip niefortunny, stósowny chyba dla pism humorystycznych. A przecież proszę posłuchać, co mówi pan W. K o r y z n a w „Dzienniku Poznańskim“:

„W końcu w odpowiedzi na zarzut, że scena poznańska pod dyrekcyą śp. Franciszka Dobrowolskiego „służyła, tak w naszych, jak zakordonowych dzielnicach za temat drwin zasłużonych“ — dość przytoczyć, że komisya wydziału krajowego dla teatru Skarbkowskiego stawiała temuż przed kilku laty w swych monitach — za wzór scenę poznańską obok krakowskiej — a pracujący i goszczący tutaj artyści cenili i podnosili wysoko ustrój i obywatelski charakter sceny poznańskiej, która mimo ciężkich warunków i pewnych niedostatków i niedomagań, zaliczała się, nie do scen „prowincyonalnych“, lecz do scen s t o ł e c z n y c h — i na tem stanowisku oby się utrzymała!“

A więc rumień się Lwowie! w proch karły nadpełtwiańskie przed poznańską sztuką! A ty narodzie ciesz się, że obok Warszawy i Krakowa przybyła ci trzecia scena stołeczna. Gdyby mi pan Koryzna zechciał wskazać dokument owego historycznego „monitum“, upiększyłbym niem ściany redakcyi, jako straszną przestrogą dla wszystkich Zoilów, tymczasem jednak bije ku mnie z całej powiastki jakaś woń legendowa, a gdy wreszcie uda mi się stłumić w sceptycznej duszy niewiarę, szepcze mi pamięć wesołe wspomnienie z lat dawnych, dziecięcych. Oto, ile razy jako chłopiec młody złamałem gałęź, wybiłem szybę, podarłem ubranie, lub powiedziałem „coś brzydkiego“, zawsze bona moja wskazywała na „dzieci z przeciwka“ i pouczała: „Widzisz, jakie tamte są grzeczne. Kazio i Józio nigdy nie martwią mamy a ty....“ Nazajutrz zdarzało się, że Kazio i Józio potłukli donice w ogrodzie, i wtedy słyszałem, jak „bona z przeciwka“ mniej więcej to samo mówiła, wskazując mnie, najgorszego z wisusów, za wzór swoim pupillom. Wyobraźcie sobie, jaki dumny byłem! Czy przypadkiem ten „wydział krajowy“ nie jest taką boną, teatr lwowski Józiem i Kaziem, a poznańska scena wielkim wisusem, jak w latach chłopięcych pokorny wasz sługa.

Lecz żart na stronę. Panegiryk „Dziennika Poznańskiego“ jest dziwnie charakterystycznym objawem etyki naszej, i wybaczy mi p. Koryzna, że jako urzędowy analityk znieprawionych stosunków miejscowych, jestem zniewolony uchylić rąbek zasłony i zapuścić sondę w człowieku. Nie popełnię zapewne wielkiej niedyskrecyi, jeżeli wyjawię publiczną tajemnicę, która dla nikogo w Poznaniu nie jest już furtą zamkniętą: Za pseudonimem K o r y z n a, tak często spotykanym w przeróżnych statystykach i pamiętnikach teatralnych, ukrywa się były sekretarz sceny poznańskiej, urzędnik do szczególnych poruczeń śp. Franciszka Dobrowolskiego. Otóż nie mając zwyczaju pisać na wiatr oskarżeń moich, wytaczanych w rubryce niniejszej, starałem się, mimo długoletniej znajomości zakulisowych tajników sceny naszej, zasięgnąć raz jeszcze najdokładniejszych informacyi i wysondować opinie samego pana Koryzny.

Tydzień cały przed napisaniem uwag moich o teatrze badałem i pytałem o stosunki naszego przybytku sztuki sekretarza dawnej dyrekcyi, a gdy w wynurzeniach p. Koryzny znalazłem potwierdzenie własnych w tym względzie poglądów, gdy nadto interwiew z p. Rygierem w drobiazgach tylko różnił się od interwiewu z byłym ministrem teatru, wtedy dopiero pióro moje umaczałem w kałamarzu. I stał się oto fakt dziwny: Pan Koryzna polemizując ze mną w „Dzienniku Poznańskim“ polemizuje sam z sobą. Wszystkie moje poglądy na ruinę dekoracyi, sprzętów i garderoby, skargi na nieużytki teatralne, ujemne opinie p. Rygiera o małżeństwach artystycznych, — wszystko to zgadza się co do joty prawie z krytyką, którą z ust p. Koryzny kilkakrotnie słyszałem. Ostrożność moją posunąłem nawet tak daleko, że gdzieniegdzie i p s i s s i m a v e r b a byłego sekretarza teatru zamieściłem w feljetonie swoim, i dziś jeszcze brzmi mi w uszach cierpka skarga p. Koryzny, że ś. p. Dobrowolski nawet „złotówki na gwoździe w teatrze żałował.“ A w dwa tygodnie później kwestyonuje pan sekretarz prawdziwość tego zarzutu i kłam własnej opinii zadaje. W obec takiej etyki w sprawach publicznych nie może chyba pan Koryzna mieć pretensyi, abym dłużej jeszcze szpadę z nim krzyżował i wiersz po wierszu udowadniał całą problematyczność jego cyfr statystycznych i całą sztuczność tych dekoracyi, któremi bankructwo sceny poznańskiej osłonić się stara. Prezentuję zatem tylko dwa momenty z tragikomicznej roli, którą p. Koryzna w najświeższej polemice teatralnej odegrał, a które wystarczą najzupełniej, by należycie ocenić wartość panegiryku, ogłoszonego w „Dzienniku Poznańskim.“ Gdy rozgrywała się walka o berło teatralne między panem Janowskim a p. Rygierem, były minister sceny poznańskiej popierał energicznie kandydaturę pierwszego, a zapytany o motywy faworów swoich odpowiadał z żelazną konsekwencyą: „W teatrze naszym nie ma warsztatu a Janowski warsztat cały przywozi ze sobą.“ Dziś ten sam minister stara się udowodnić w kilkułamowym artykule, że „warsztat“ sceny naszej jest niemal wszechstronnie doskonałym. A gdy p. Rygier w towarzystwie p. Koryzny zwiedzał garderobę, dekoracye i rekwizytornię, wtedy z uśmiechem tryumfu oświadczył mi wielki Cicerone, że „odechciało się kandydatowi wszystkiego, skoro zobaczył, jak u nas w teatrze wygląda.“ W kilka dni później ten sam Cicerone stara się ludziom wytłomaczyć, że tam za kulisami wszystko jest piękne, dobre, znakomite.

Żal mi istotnie, że zniewolony jestem posługiwać się w polemice wyjątkami z dyskusyi prywatnych, ale w naszych znieprawionych stosunkach społecznych pewna bezwzględność etyczna i weryzm surowy jest niezbędny dla wypalenia ropiejących bólów. Zapytacie niezawodnie, co mogło skłonić p. Koryznę do odegrania w „Dzienniku Poznańskim“ tak nieszczęśliwej komedyi: Z jednej strony uzasadniona obawa, że krytyka moja o ruinie sceny poznańskiej, może przylgnąć i do jego własnej osoby, jako ukrytego lecz wpływowego wielkorządcy w ubiegłem dziesięcioleciu teatralnem, z drugiej strony owa typowa poznańska lękliwość przed każdem śmielszem pociągnięciem kurtyny, za którą kryje się grzech, próchno lub zgliszcza. Tak w cztery oczy ludzie nieraz mają gorzkie uśmiechy na ustach i nieraz rękę zanurzą w rany drgające i cisną łzy i przekleństwa, lecz na arenie publicznej wszyscy udają ślepych i trupa kryją różami. Zasiądzie grono mężów poważnych nad martwem ciałem ubranem w liście i kwiaty, — każdy z nich czuje zapach zgnilizny, lecz wszyscy mówią o wiośnie. A jeżli czasem ktoś niewtajemniczony w misterya „ładu i porządku,“ lub jaki wróg maskarady nie nazwie stypy weselem, jesieni wiosną, szkieletu życia rozkwitem, wnet pomruk pocznie się głuchy w senatorów gronie i syk przeciągły, niemiły. Spojrzysz zdumiony. ...Toż oni sami przed chwilą jeszcze.... Fałsz! krzyczą chórem, a ty idź spać mój werysto!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Nowy dyrektor sceny poznańskiej, p. Rygier, wyjechał do Warszawy celem skompletowania trupy dramatycznej. — W teatrze miejskim w Krakowie rozpoczęła szereg gościnnych występów pani Adolfina Zimajer. — W warszawskim teatrze letnim wznowiono „Mazepę“ z p. Leszczyńskim w roli wojewody. Znakomity krytyk Wł. Bogusławski wyraża się z bezwzględnym zachwytem o potężnej grze wielkiego tragika, który w ostatnich czasach zdradzał często niedbałość i zniechęcenie z powodu przykrych stosunków, panujących w teatrach warszawskich. Nareszcie „lew się przebudził“. Obok p. Leszczyńskiego występował gościnnie z niemałem powodzeniem artysta krakowski p. Śliwiński w roli Zbigniewa. — Oskar Wilde, znakomity dramaturg angielski, odsiadujący, jak wiadomo, więzienie za obrazę moralności, wkrótce zostanie ułaskawiony. Powodem ulgi będzie nadwątlony stan jego zdrowia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **F. w Gnieźnie.** Poświęcamy dzisiaj tej sprawie artykuł wstępny. Dwie inne kwestye, o których Szan. Pan wspomina, poruszymy wtedy dopiero w łamach pisma naszego, gdy obiecany materyał dowodowy znajdzie się na biurku naszem.

— **Jadwiga M.** Zofia Kowalewska umarła w r. 1891. Bliższych szczegółów o życiu tego przedwcześnie i nieco tajemniczo zgasłego talentu, dowie się Pani z autobiografii, przełożonej na język niemiecki przez M. Karellę i z świetnej sylwetki, skreślonej piórem Laury Marholm.

— **Logos.** Zamieścimy, jeżeli Pan zgodzi się na skreślenie pierwszego rozdziału. Prosimy o uchylenie anonimu i dokładny adres.

BIBLIOGRAFJA.

Książki nadesłane Redakcyi.

Marya Wysłouchowa. S e w e r y n G o s z c z y ń s k i. Lwów 1896.

Wojciech Gorazda. S i l e s i a n a. Z p a m i ę t n i k a d z i e n n i k a r z a. Kraków 1896. Skład główny w Księgarni Gebethnera i Sp.

Toruński elementarz polski z o b r a z k a m i z a s t o s o w a n y d o p o t r z e b d z i e c i u c z ą c y c h s i ę w s z k o ł a c h n i e m i e c k i c h.

S. Dickstein. Hoene Wroński, jego życie i prace. Kraków 1896.

Publicysta z Warszawy. Obrachunki polityczne. I. Rosya w obec Polski. II. Polska w obec Rosyi. Kraków 1896.

Ksiądz dr. Antoni Kantecki. P r z y c z y n e k d o d z i e j ó w W. Ks. P o z n. Poznań 1896. Nakładem i czcionkami drukarni „Kuryera Pozn.“

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28